Nr. 207. Lwów — Niedziela dnia 7 Września. Rok 1902.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: | Jutro: | E. 16 po S. A. Str. Narodzenie NMP. | Bart. i Tytusa Adryana M. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca o g. 5 m. 32 Zachód „ „ 6 m. 22 | Długość dnia godzin 12 minut 51 Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Mowa Wilhelma II.

Tonem i treścią mowa poznańska znacznie od malborskiej się różni. Na zamku krzyżackim rzucił ukoronowany orator wezwanie do walki, którą naród niemiecki musi z polskim toczyć dopóty, aż go pokona i zdepce. Natomiast w poznańskim gmachu stanów prowincyonalnych mówił ten sam orator tak, jakżeby owa walka już się skończyła krzyżackiem zwycięstwem i teraz pozostaje tylko podyktować pokonanym warunki życia.

Jakież są te warunki? Oto, wolno pokonanym zwracać się „dumną pamięcią ku swej dawnej historyi“, ale muszą być dobrymi Prusakami. Ich tradycye i pamiątki niech sobie spokojnie istnieją — zapewne w jakiemś muzeum — ale żywi ludzie powinni oswoić się z myślą, że ich przeszłość niepowrotnie przepadła, a przyszłość ich musi być niemiecką. To bynajmniej nie znaczy, że Polacy, zachowujący swą narodowość i język, muszą być tylko wiernymi obywatelami państwa pruskiego i rzetelnymi poddanymi pruskiego króla: nie! ich ziemia powinna być „szczerze niemiecką“, a ich tradycye „niech istnieją spokojnie“, to znaczy nieużyteczne jako pochodnia życia.

Ukoronowany orator przypomniał jednak sobie, że naprawdę walka nie jest jeszcze skończona. Toczy się ona tak, jak on chce i jak wyraźnie rozkazał, a wszystkie jego zastępy dobrze się zastosowują do jego wskazówek, lecz katolicy niemieccy stoją na uboczu, w zapasach nie biorąc udziału, bo się obawiają, że germanizacya jest zarazem protestantyzacyą. Ich neutralność odwleka niemieckie zwycięstwo. A więc woła do nich król, że mniemanie, jakoby ktokolwiek w jego państwie nastawał na katolickie wyznanie, jest kłamstwem. Kto coś podobnego mówi, ten głosi obrażliwą potwarz, albowiem król myśli tak, jak rzekł jego przodek Fryderyk II, że „niech każdy się zbawia na swój sposób“.

Nie po raz pierwszy w tym roku Wilhelm II tak przekonywa niemieckich katolików. Raz nawet polecił swemu jenerałowi Loe stanąć przed zgromadzeniem katolickiem i oznajmić mu, że sam Papież pochwala postępowanie króla w sprawach religijnych. Widocznie zatem rząd bardzo potrzebuje pomocy katolików niemieckich w dziele germanizacyjnem, potrzebuje milczenia centrum i jego prasy.

Pozyskiwanie centrum odbywa się dość pomyślnie dla rządu. Część tego stronnictwa już przeszła do ministeryalnego obozu, część druga — zamilkła; być może, iż poznańska mowa przyśpieszy proces przeciągania się centrum w obóz rządowy, a wtedy wszyscy Niemcy zapiszą się do hakaty i żadne cnotliwe serce germańskie nie zarazi się polskimi grzechami.

Wówczas stanie się to, o czego król wzywał w swej malborskiej mowie: wszyscy Niemcy zgodnie pójdą na Polaków. A ponieważ wierzy on, że tak właśnie się stanie i że to da hakacie zwycięstwo, więc już, jak widzi, już je uważa za fakt spełniony — i dyktuje pokonanym warunki życia.

Czy nie zawcześnie?

Wyrachowani, przebiegli, systematyczni we wszystkiem i zawsze bezwzględni, Prusacy jedną posiadają wadę, z której niepodobna im się uleczyć, a która mogłaby im przeszkodzić osiągnąć trwałe zwycięstwo. Na tę wadę wskazał w r. 1899-ym Brandes. Jest to tchórzostwo, połączone jakimś dziwnym sposobem z pychą. Ta mieszanina sprawia to, że Prusacy, kiedy natrafią na niespodziewany opór, postępują na oślep z zapamiętałością i okrucieństwem tchórza. Może w takie położenie wpędziła ich *der Fluch der bösen That*, z pod którego duszy ludzkiej tak trudno się wyzwolić; może stąd pochodzi ich chorobliwa pycha, będąca równie klątwą społeczeństw, jak jednostek, a niepozwalająca wracać się w połowie drogi, choćby było rzeczą widoczną, że się weszło na błędną.

Upór zaślepia, a człowiek zaślepiony i uparty kroczy naprzód, nie zważając na drzewa, brody i doły, jak ów żebrak w bajce Krasickiego, i nie staje nawet wówczas, gdy w zaślepieniu dopuszcza się czynów, które mu nadają pozory tchórza.

Jeżeli istnienie państwa wymaga, ażeby wszyscy obywatele jego polszczyzna nie rozlegała się ani w sądzie, ani w urzędzie, ani na dworcu kolei, ani na poczcie; jeżeli potęga Prus nie przetrwałaby zamianowania Polaka urzędnikiem, sędzią, lub profesorem; jeżeli robotnik polski nie może piastować na kolei urzędu palacza, skoro ośmielił się zażądać, by dzieci jego uczyły się katechizmu po polsku; jeżeli cały ten system jest naprawdę państwu, monarchii i szczepowi niemieckiemu tak niezbędny: to dlaczegóż nie zażądać w końcu od Polaków, aby swą duszę złożyli w muzeum pamiątek, a wzięli sobie duszę niemiecką. Takie żądanie — *das ist der Fluch der bösen That*.

Lecz naprzód! Dopóki rząd pruski nie postawi żandarma nad każdą kołyską polską i na każdym kawałku murawy, na którym dzieci się bawią; dopóki, jak jakiś kalif Omer, nie spali wszystkich skarbów naszej literatury; dopóki z pamięci nie wydrze nam naszych dziejów, dopóty — przy zastosowaniu hakatyzmu — nie stanie się to, czego pragnie Wilhelm II; spokój i pomyślność nie zapanują w Poznańskiem i trzeba będzie Prusakom ciągle nas trzymać w szponach nadzoru policyjnego, ciągle się lękać każdego szmeru, ciągle się narażać na zarzut tchórzostwa i wiecznie walczyć zapamiętale, barbarzyńsko, a wciąż się od porozumienia oddalać.

Zaburzenia w Zagrzebiu.

Wiadomości o krwawych zaburzeniach w Zagrzebiu przyszły tak niespodziewanie, że w pierwszej chwili niepodobna było zdać sobie sprawy z tego, co właściwie było ich powodem. Nic bowiem nie działo się w stolicy Chorwacyi takiego, coby mogło wzbudzać obawę, iż przygotowuje się tam jakaś ruchawka: nie było ani strejku żadnego, ani kongresu, ani jakiegoś zjazdu, ani nawet jakichś obchodów. Naraz w poniedziałek przychodzą pierwsze doniesienia, iż ludność chorwacka Zagrzebia demonstruje przeciw Serbom, zamieszkałym tam, depesze następnego dnia doniosły już o gwałtach na wielkie rozmiary, o plądrowaniu sklepów, podpalaniu domów, bójkach z policyą, aż wreszcie z depesz środowych, zapanował w Zagrzebiu formalny stan anarchiczny, policya nie była w stanie utrzymać ładu i porządku, nikt nie był już pewny swego życia i mienia do tego stopnia, że rząd musiał ogłosić stan oblężenia i sprowadzić wojsko z Peszta.

Dziś, gdy rozruchy ustały, można rozpatrzeć się w sytuacyi i zrozumieć przebieg tych bądź co bądź niezwykłych zajść. Owóż sprawa przedstawia się tak, że początkowe demonstracye były wyłącznie narodowe, że zaś demonstracya polityczna wyrodziła się nagle w kryminalne wybryki, przypisać należy jedynie temu, że jak wszędzie, tak i w Zagrzebiu, żywioły socyalistyczne i anarchiczne skorzystały z nadarzającej się sposobności i zaczęły hulać po swojemu. Niestety i my doświadczaliśmy tego nieraz w naszym kraju.

Co się zaś tyczy genezy demonstracyi zagrzebskich, to w gruncie rzeczy bezpośredni ich powód przyszedł z tej strony, z której się tego najmniej spodziewano. Przyczynę ich stanowiła bowiem dalsza polemika dziennikarska. Niedawno odbyła się w Zagrzebiu wielka uroczystość chorwackiego związku śpiewackiego „Kolo“, a zebrani na tej uroczystości śpiewacy, wysłali do Cesarza, jako do króla Chorwacyi, telegram z wyrazami hołdu. Owóż z tego powodu, że w uroczystości tej wzięli udział także śpiewacy z Bośni i podpisali ów telegram do króla Chorwacyi, wystąpiło wychodzące w Belgradzie czasopismo *Srbski Književni Glasnik* z namiętnym artykułem, w którym zaprotestowało przeciw poglądowi, jakoby Bośnia była duchowo przynależną do Chorwacyi, a w dalszym ciągu dało poniekąd wyraz zapatrywaniu, że właściwie nie ma odrębnego narodu chorwackiego i że Chorwaci powinni raz już oswoić się z myślą, iż muszą w końcu rozpłynąć się w ogólno-serbskiem morzu. Artykuł ten, obrażający narodowe poczucie Chorwatów, przedrukował wychodzący w Zagrzebiu dziennik serbski *Srbobran* i zaopatrzył go w ironiczny komentarz, uwłaczający pamięci Jellacicza, tudzież chorwackim ideałom narodowym. Napisano tam bowiem z przekąsem, że znamiennym rysem charakteru Chorwatów jest gloryfikacya takich postaci, jak Zwenimir, który z własnej woli złożył Papieżowi przysięgę hołdowniczą, a zatem oddał państwową potęgę Chorwacyi w obcą służbę, albo Jellacicz, który pod maską narodową służył tylko reakcyjnym celom. Naród, który ma takie ideały, jest, jak się wyraził *Srbobran*, „narodem lokajów“, i nie ma prawa domagać się czegokolwiek od przyszłości.

Złośliwy ten komentarz *Srbobrana* wywołał słuszne oburzenie wśród Chorwatów. Jakoż przedewszystkiem przeciw redakcyi tego pisma skierowane były pierwsze demonstracye, a nadto miały one także wybitnie antirządowy charakter, gdyż od dawna już pomawiają Chorwaci rząd peszteński o to, że w obec ich kraju prowadzi politykę nieszczerą i faworyzuje wrogi im żywioł serbski.

Redakcyę owego zaczepnego dziennika *Srbobranu* zdemolowano doszczętnie zaraz pierwszego dnia rozruchów, powybijano także szyby w sklepach i mieszkaniach wielu Serbów. Na tem zapewne byłyby się skończyły demonstracye, gdyby nie to, że, jak to wyżej zaznaczyliśmy, żywioły socyalistyczne i anarchiczne wyszły z ukrycia i ujęły w swoje ręce dalszą „akcyę“. Skutkiem tego demonstracya, mająca początkowo tło wybitnie polityczne, przemieniła się w szereg pospolitych zbrodni, kradzieży, podpaleń, plądrowań, a nawet godzenia na życie ludzkie. To uczyniło koniecznem zastosowanie najsurowszych środków represyjnych. Spokój w Zagrzebiu został już nareszcie przywrócony, ale zarzewie nienawiści narodowej między Chorwatami i Serbami pozostanie nadal, a jątrzycielska prasa w rodzaju takiego *Srbobrana* i takich belgradzkich *Glasników* nie da mu zagasnąć.

Jubileusz Armii Zbawienia.

Gdy w roku 1878 Wiliam Booth, należący do sekty metodystów, założył „armię zbawienia“, współcześni znawcy traktowali go podejrzliwie. Kościół anglikański wyszydził go, a społeczeństwo wogóle nie było mu przychylne. Organizacya wojskowa, rodzaj liberyi, obowiązkowo noszonej przez członków sekty, ich marsze z muzyką hałaśliwą i cymbałami, ich śpiewy i kazania, ich publiczne spowiedzi i nawracania, wszystko to wyglądało jak arlekinada i odstręczało od „armii zbawienia“ wykształceńsze warstwy towarzyskie. Ale przyciągała ona do siebie magnetycznie pospólstwo; Wiliam Booth okazał się głębokim znawcą proletaryatu. Obecnie, gdy działalność jego dobiegła ćwierć wieku, ludzie najbardziej uprzedzeni zmuszeni są przyznać, że „armia zbawienia“ nie zrobiła nic złego, a przeciwnie zdziałała wiele dobrego. Wyrwała z czeluści ostatniego moralnego upadku tysiące jednostek, żyjących bez najmniejszej religijnej iskierki, bez najmniejszych moralnych zasad. Oduczyła pijaństwa i z szynków przeniosła swych adeptów do kaplic na modlitwy.

Żadna organizacya sekciarska ostatnich czasów nie może się pochlubić równym sukcesem. Armia zbawienia posiada teraz 7.500 zborów, z których 1.500 w Anglii, 2.700 w Ameryce, 1.800 w Indyach i Japonii — resztę na stałym lądzie Europy. Dla spełnienia swych celów używa corocznie około 2.000.000 funtów szterlingów; ma swoje własne dzienniki, posiada sztab jeneralny, złożony z jakich 10.000 „oficerów“ płci obojej i liczy przeszło milion „żołnierzy“, tj. uczestników i wyznawców.

Każdy myślący człowiek, który boleje nad zezwierzęceniem najniższych warstw społecznych i pragnie ich moralnego odrodzenia, przyznaje, że William Booth przedsięwziął i dokonał nadzwyczajnego dzieła. Światły katolicyzm oddawna już oddał mu sprawiedliwość. Ale jenerał Booth nie ograniczył się do stworzenia organizacyi, która zdąży do podniesienia dusz ciemnych i zbłąkanych. Zapragnął on odrodzić je przez pracę, odciągnąć od występku. Gdy się patrzało na Bootha, na tę jednostkę, kruszącą kopię z takim wszechpotężnym przeciwnikiem, jak proletaryat brytański, nie wiedziało się zrazu, co więcej w nim podziwiać: zuchwałość, czy naiwność.

Jedenaście lat upłynęło od ogłoszenia przezeń rozgłośnego pamfletu: *The Darkest England*. Zażądał on w nim od społeczeństwa brytańskiego stu tysięcy funt. szterl. na stworzenie instytucyj, któreby uwolniły proletaryat od najdotkliwszej nędzy i 30 tysięcy funtów szterl. rocznie na utrzymywanie tych instytucyj. Otrzymał zakładowy fundusz, ale owego rocznego dochodu niezbędnego do osiągnięcia celu, nie otrzymał. Choćby nawet jego plan grzeszył optymizmem, jak było w istocie, nie można wyrzucać mu niepowodzenia, bo nie dano mu środków do spełnienia zakreślonego projektu. Nie 30 tysięcy, lecz zaledwie ćwierć tego wpływa do jego kasy, a nadto dwa ostatnie lata, wskutek wojny, zapisały się ujemnie w jego budżecie, podobnie, jak we wszystkich innych filantropijnych przedsięwzięciach.

Pomimo braku funduszów, jenerał Booth zrobił niezmiernie wiele. Jego system polega, jak wiadomo, na dawaniu noclegu i strawy najuboższej ludności, która w zamian za to odsługuje się jakąkolwiek pracą. Jego pupile nie opuszczają swych zawodowych zajęć, uczą się rzemiosł i po nowicyacie są wysyłani na folwarki wiejskie. Tam otrzymują wykształcenie rolnicze, przygotowujące ich do dalszego życia i pracy samodzielnej w koloniach. Przy nadzwyczajnej oszczędności i wzorowej administracyi, małymi stosunkowo środkami jenerał Booth był w stanie ocalić wielką liczbę nieszczęśliwych istot. Wszyscy kompetentni znawcy, którzy jego instytucye zwiedzili, oddają mu bezwarunkowe uznanie.

Podług ostatniego statystycznego wykazu, utrzymuje on i prowadzi w Wielkiej Brytanii następujące instytucye: 41 stacyi przytułkowych, 25 pomocniczych, jeden dom dla uwolnionych więźniów, 24 domów noclegowych, 13 biur dostarczających pracy, 9 zakładów fabrycznych i jedną wielką osadę robniczą. Oprócz tych 122 instytucyi w Wielkiej Brytanii, Armia Zbawienia posiada ich 505 w innych krajach i częściach świata, czyli razem 627, wszystkie zaś zostają pod kierunkiem 2669 „oficerów“.

Obiecywano jen. Booth rozległe ziemie w zamorskich krajach, gdzieby jego protegowani, po należytem przygotowaniu osiedlać się mogli jako kolonizatorowie. Nie wiemy, czy obietnice Cecyla Rhodes, udzielenia znacznych terytoryów w Rhodezyi, zostały potwierdzone w jego testemencie. W Kanadzie niebawem, po dopełnieniu ostatnich prawnych formalności, powstaną liczne osady członków armii zbawienia, a w Australii stanowisko jej jest uznane i poważane. Chociaż państwo nie czyni tam nic dla religijnych stowarzyszeń, posługuje się armią zbawienia dla spełniania rozmaitych dzieł filantropijnych.

Zanosi się tedy na pomyślniejszą przyszłość po przebyciu trudnego nowicyatu. Ale założyciel liczący obecnie 72 lat życia nie dożyje już prawdopodobnie tego lepszego jutra. Prawą jego ręką i następcą będzie jego syn Bramwell Booth. Ukochana córka, słynna swego czasu „marszałkowa“ armii zbawienia, pani Booth Clibborn, odstąpiła ojca i przyłączyła się do sekty Amerykanina Davies, fanatyka, leczącego choroby fizyczne przez modlitwy i śpiewy. Mimo wszystko, stary, schorzały, lecz nie złamany tylu zawodami jenerał Booth nie przestaje pracować nad swojem dziełem.

Młoda Polska.

Od pewnego czasu mówi się i pisze dużo o t. zw. młodej Polsce, czyli o najnowszym ruchu literackim.

Ci, którzy nazywali się niegdyś „młodymi“, utracili już prawo do tej ładnej nazwy. Szron jesieni posrebrzył ich głowy, doświadczenie (niezawsze wesołe) długiego szeregu przepracowanych lat odjęło im ową rzutkość ruchów i sprężystość woli, ową świeżość uczuć i wiarę w siebie, które bywają najdroższymi darami młodości. „Młodzi“ zestarzeli się; miejsce ich zajmują powoli jeszcze młodsi... „najmłodsi“, jak inaczej być nie może.

Każde nowe pokolenie mówi do starszego po cichu, albo głośno: „Byliście głupcami, nasi zacni mistrzowie; my wam dopiero pokażemy, jak trzeba myśleć, czuć, pracować.“ Bo każdemu zdaje się, że się dopiero od niego zaczyna: nauka, sztuka, rozum, cywilizacya wogóle. Tak zdawało się niegdyś romantykom, następnie pozytywistom, w końcu modernistom współczesnym. I dobrze, że tak jest, jak jest, gdyby bowiem młodość, stając w szrankach życia, nie wnosiła z sobą pewnej dozy buty, pewności siebie i gwałtowności, stanęłaby maszyna postępu.

Zupełnie niepotrzebnie gniewamy się my, starsi, na arogancyę i niegrzeczność młodszego pokolenia. Grzeszyliśmy niegdyś temi samemi wadami. My „wymyślaliśmy“ starszym od nas, za to wymyślają nam młodsi, a tych znów nazwą idyotami ich synowie, synów wnukowie i tak dalej, bez końca.

Tak niedawno temu był cały świat cywilizowany przekonanym pozytywistą, wierzył we wszechmoc rozumu, apoteozował przyrodników, chemików, inżynierów, kupców, przemysłowców. Mamy jeszcze wszyscy w uszach owe zwycięskie, radosne okrzyki: wiedza to potęga! wiedza otworzy na roścież wrota do raju światła, dobrobytu, szczęścia! Nieliczną garstkę tych, którzy nie płynęli z prądem chwili, którzy opierali się temu prądowi, nazwano obskurantami, ciemnymi wstecznikami. A dziś? Lada pensyonareczka wzrusza pogardliwie ramionami, gdy się mówi o doktrynie pozytywistycznej i jej mistrzach. Darwin, Spencer, Comte, Littré? Mamuty, głupcy... I potrzebnież gniewaliśmy się my, „wstecznicy“, na pychę rozumu ludzkiego? I bez naszego oporu byłby czas zwiał tę efemerydę, jak zwiał tyle innych eksperymentów człowieczych.

Lecz skąd ten przewrót w pojęciach? Posłuchajmy, co mówi p. Mazanowski w swojem studyum p. t. „Młoda Polska“.

Bez względu na całą błyskotliwość nowoczesnej cywilizacyi, nie dźwięczała dotąd — zdaniem p. Mazanowskiego — nuta rozpaczy nigdy tak głośno, jak w chwili obecnej. Złożyło się na to tysiąc przyczyn i zjawisk ekonomicznych i duchowych. Statystyka stwierdza, że śmiertelność ogólna powiększa się stale zwłaszcza wśród ludu, a natomiast zmniejsza się wymiar cząstek ziemi na osobę, zmniejsza się także ilość zwierząt domowych i urodzajność ziemi. Średnie trwanie życia i roboczego okresu u człowieka jest coraz krótsze, rośnie liczba fizycznie niezdatnych do wojska, mnoży się tłum bezdomnych i bezrolnych — przybywają tysiące, miliony, żebraków. Wśród tej nędzy ekonomicznej daje się dostrzegać przerażający upadek moralności. Niewiara się szerzy, zamęt w przekonaniach staje się powszechny, ilość sprzeniewierzających się swoim zasadom dla osobistego interesu rośnie, przeraża brak charakterów, kompromisy z własnem sumieniem dokonywają się bez trudu i odbywają się codziennie, poszanowanie i poczucie własnej godności bywa coraz rzadsze, najpospolitszą zbrodnią jest obecnie najpodlejsza i najbezecniejsza, t. j. kradzież. Dodajmy do tego niezwykłe zdenerwowanie ogólne, nadmiernie podniesiony stan uczuciowości; lęk wobec śmierci i przyszłego życia, szerzące się wizyonerstwo, chorobliwą żądzę użycia i nadużycia wszelkich rozkoszy, chociażby ko-

---

44)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Czuł się pobitym, zwyciężonym, lecz przynajmniej chciał się zemścić, a przytem wyciągnąć, o ile się da, jak największą korzyść z obecnego stanu rzeczy.

Zapytał raz jeszcze:

— Więc ten zamiar mojej żony zupełnie już nieodwołalny?

— Powiedziałam to już raz, zdaje mi się, że dosyć wyraźnie i nie widzę potrzeby powtarzać więcej — odparła pani Sławska sucho.

Patrzył na nią szyderczo.

Sam zepsuty do szpiku kości, pozbawiony wszelkich zasad moralnych, wszędzie też złe widział i z łatwością w nie wierzył, więc też i teraz wydało mu się zupełnie prawdopodobnem, że pani Sławska wie dobrze o stosunku łączącym jej syna z Olgą, że patrzy na to nawet chętnem okiem, może spodziewa się, że Olga kiedyś otrzymać będzie mogła rozwód i zostać żoną Romana.

Rozumie się, że w pojęciu jego, główną i jedyną prawie w tem wszystkiem rolę odgrywał majątek Olgi.

Powoli więc, patrząc złośliwie z pod przymrużonych powiek, wypowiedział warunki swoje.

Stanowiła je suma taka, która prawie całkiem zrujnować musiałaby Olgę.

Nadszarpnął on był już znacznie majątek jej przez te trzy lata zbytkownego życia. Ona, wychowana w dostatkach, nieprzywykła troszczyć się żadnemi kwestyami materyalnemi i poprostu nie mająca o nich najmniejszego pojęcia, nie pytała o nic, zostawiała mu zupełną wolność rozporządzania całym majątkiem.

Dziś pozostała z niego zaledwie trzecia lub czarta część — a on sam nie miał już nic. Wszystko pochłonęły konie, karty, wesołe kolacyjki, i wreszcie królowa baletu, fertyczna blondyneczka Nini. Rozłączenie z żoną było więc dla niego ruiną zupełną.

Lecz on miał nadzieję, że mu się przecież uda wykręcić się z tego kłopotu w sposób taki, że nietylko jemu okroi się lwia część, ale i Oldze nic już prawie nie pozostanie.

Liczył na jej zupełną nieznajomość spraw majątkowych. Była w tym względzie jak dziecko, lub jak królewna, nieznająca wcale wartości pieniędzy.

Było mu więc bardzo nie na rękę, że te warunki swoje stawiał nie wprost jej, lecz pani Sławskiej, która jako osoba starsza, doświadczona i praktyczna, mogła stawiać przeszkodę jego zamiarom, nie pozwolić mu ograbić Olgi.

Gdy wypowiedział cyfrę żądanej sumy, podniosła na niego wzrok surowy.

— Wymagania pana są poprostu bezczelne. Jest to korzystanie z nieświadomości i nieznajomości rzeczy młodej kobiety, żeby zostawić ją prawie w biedzie. Ja na takie warunki przystać nie mogę i jej nie pozwolę się na nie zgodzić.

Roześmiał się szyderczo.

— A... pani zapewne ma coś w tem, żeby majątek zachować Oldze, a przez nią i komuś innemu!...

— Co pan rozumie przez to?

— Ależ nic, nic, rozumiem i cenię nawet bardzo taką zapobiegliwość macierzyńską.

Pani Sławska zerwała się z miejsca, jakby pod uderzeniem bicza.

— Jesteś pan nikczemnym tchórzem, mówisz pan obelgi kobiecie, bo wiesz, że to żadnych za sobą następstw nie pociąga. Gdyby mój syn tu był, nie śmiałbyś mi pan tego powiedzieć, o nie! albobyś pan musiał to życiem przypłacić!

Odwróciła się pogardliwie plecami do niego i poszła ku drzwiom.

Gorwicz zabiegł jej drogę.

— Ależ łaskawa pani! Żartowałem tylko! Nie wiedziałem, że pani tak mi to za złe weźmie! Nie skończyliśmy przecież jeszcze naszej rozmowy.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

— Nie mam już nic więcej do powiedzenia. Warunki pańskie przedłożę Oldze i żebyś pan nie myślał, że mam w tem, osobisty jakiś interes, daję panu słowo, że ani trochę na jej decyzyę wpływać nie będę. Odpisze ona panu sama, czy zgadza się lub nie.

I bez jednego słowa pożegnania, nie kiwnąwszy mu nawet głową, wyszła dumna i wyprostowana, a on pozostał sam, zmieszany i zawstydzony, mimo całej swej bezczelności, jak biczem wychłostany wyższością i pogardą tej kobiety o siwych włosach, której rzucił obelgę, bo była bezbronną i kobietą.

Nazajutrz odebrał od Olgi krótki, formalny list, w którym donosiła mu, że zgadza się na wszystko, czego żądał. Ponieważ zaś dla wypłacenia wymaganej przez niego sumy sprzedać musi Sławice, tymczasem kwotę tę zabezpieczy na swoim majątku, a natychmiast po dokonanej sprzedaży będzie on mógł ją odebrać.

Przeczytawszy list, zatarł ręce z radości.

Mimo wszystko, nieźle jeszcze wyszedł z tej całej awantury! Jednak to wygodnie w takich razach mieć do czynienia tylko z kobietami, które zawsze rządzą się raczej porywami, niż rozsądkiem.

Gdyby Olga, chcąc rozłączyć się z nim, oddała tę sprawę w ręce sądu, żaden w świecie trybunał nie przyznałby mu sumy tak ogromnej, jak ta, którą teraz otrzymał.

Lecz on już z rozmowy swojej z panią Sławską wymiarkował, że Olga odda raczej cały nawet majątek, a nie zechce spraw swych osobistych przed sąd wywlekać — zrozumiał również, że, chora, rozdrażniona do najwyższego stopnia, pragnąc gorączkowo rozłączenia z nim, zrobi wszystko, co on zechce, byle to rozłączenie czemprędzej uskutecznić się dało.

Tak sobie wszystko w głowie ułożył, i udało mu się rzeczywiście.

Uszczęśliwiony tak pomyślnem zakończeniem tej zawsze bądź co bądź niemiłej sprawy, powrócił do Warszawy, i zaczął tam używać życia wesoło, o ile się tylko dało.

Nic go już teraz nie krępowało; dawniej zawsze musiał się choć trochę liczyć z obecnością żony w domu, jeśli nie dla niej, to przynajmniej dla oczu ludzkich; dziś, wolny już zupełnie, hulał po całych dniach i nocach.

Gdy go pewnego ranka pijanego zupełnie odwieziono do domu, po przebudzeniu się pamiętał tylko, że poprzedniej nocy ku zabawie rozochoconych towarzyszy opowiadał im głośno, i z najrozmaitszemi ubarwieniami, historyę rozłączenia swego z żoną — między innemi pozwolił sobie na prędce zaimprowizować scenę, jak to przyjeżdżając niespodzianie do Sławic, zastał Olgę w objęciach Romana Sławskiego, — i kończąc opowiadanie, objaśnił słuchaczy, że żona jego po gwałtownej z nim przeprawie, w czasie której dostał w głowę zapaloną lampą, uciekła, i to wprost do matki swego kochanka, gdzie dotąd jeszcze przebywa, i która, z prawdziwie chrześcijańską wyrozumiałością na cudze błędy patrzy na stosunek syna z bogatą kuzynką. Ha, cóż dziwnego, artyści potrzebują zwykle pieniędzy!

(Ciąg dalszy nastąpi).

sztem zdrowia, honoru, czci i dobrej sławy, a otrzymamy obraz bankructwa chwili obecnej.

Mówiono nam, skarży się jeden z angielskich psychologów społecznych — że masy ludowe są szczęśliwsze w ustroju kapitalistycznym, przemysłowym i ekonomicznym. Jakże wygląda to szczęście owych wielkich mas? Owe szczęśliwe wielkie masy występują dziś, pełne skargi i groźby, do szturmu przeciwko społeczeństwu nowożytnemu, a nigdy dawniej nie miały tylu wymagań. Jak krwawy przypływ, podnosi się z dniem każdym poziom zbrodni; mnożą się samobójstwa nietylko starszych, lecz nawet dzieci. Codziennie w jakimś punkcie świata cywilizowanego wybucha bunt robotniczy. Ludzie ubodzy większych miast zapomnieli bawić się, śpiewać. Obietnice szkoły manchesterskiej zawiodły świat. Tak samo zawiodą go doktryny socyalistyczne, gdyż odbierają tłumom wiarę, obyczaj, tradycyę i piękno.

Ostatecznym wynikiem i rezultatem dzisiejszej kultury jest brak duchowego spokoju, zatrata celu życia, zmniejszenie się jego wartości, upadek moralny, uwielbienie złotego cielca, hołdowanie żądzom i popędom, egoizm powszechny i t. d. Kultura mimo pozornego blasku stacza się po równi pochyłej. Kierunek tego pędu wyraża się najlepiej w głoszonych coraz jawniej i coraz śmielej zasadach filozofii praktycznej, którąby można nazwać filozofią zgnilizny. Podstawą tej okrutnej filozofii jest bezlitosny stosunek do bliźniego, usprawiedliwiany zazwyczaj źle pojętą teoryą Darwina walki o byt.

Czytając powtarzające się od pewnego czasu zawsze te same skargi na zupełne bankructwo chwili obecnej, zdawałoby się, że cała ludzkość cywilizowana grzęźnie po same uszy w błocie fizycznego i moralnego upadku. Tymczasem tak źle jeszcze nie jest. Nasamprzód trzeba wykreślić z listy „bankrutów“ szary milionowy tłum, nie biorący nigdy udziału w pracach cywilizacyi.

Zaledwie drobna cząstka tego tłumu — robotnicy fabryczni i młodzież rzemieślnicza większych miast — zatruła się źle strawionemi odpadkami doktryn materyalistycznych. I niecałą także inteligencyę ogarnął swojego czasu szał wiedzy niezależnej, porwała, uniosła pycha rozumu. Miliony wiernych chrześcijan nie kłaniały się mistrzom pozytywizmu. Wszakże szła prawie równolegle z tryumfującą „trzeźwością“ reakcya anti-pozytywizmu, szła bokiem, wzgardzona, wydrwiona, jako „wstecznictwo“, ale szła, przygotowując grunt czasom innym.

Gromadę „bankrutów“ stanowi właściwie tylko ta część inteligencyi, która wierzyła bez krytyki w ideały pozytywizmu, wychowała się w nich, przesiąkła niemi; do tej gromady należy także burżuazya finansowo-kupiecko-przemysłowa, z natury swoich zajęć bliższa materyalizmowi, w jakiejkolwiekby się formie on przejawił, aniżeli idealizmowi.

Wprawdzie należały ostatnie lat dziesiątki do owych dzisiejszych „bankrutów“, bo oni to rządzili w nauce, w literaturze, w sztuce, w przemyśle, w handlu, a nawet w pewnych krajach i w polityce (Francya), lecz rządy te nie były i nie są trwałe.

A potem... Skargi, jakie dziś słyszymy ze wszystkich stron, nie są bynajmniej wynalazkiem naszych czasów. Odzywają się one we wszystkich chwilach przełomowych, we wszystkich epokach przejściowych, a prawie zawsze dosłownie te same.

Doktryny pozytywizmu zawiniły — niezawodnie — ale zawiniły tak, jak wszystkie doktryny jednostronne w ogóle. Z zachwytów i rozczarowań, z istotnych zdobyczy i złudzeń składa się rwący się ciągle i ciągle nawiązywany łańcuch rozwijającej się cywilizacyi.

Nie nauka pozytywistyczna zawiniła, bo nauce wolno eksperymentować, szukać, łudzić się, lecz głównie owa niefortunna „etyka niezależna“. Ona (przeciw woli swojej i chęci oczywiście) rozpętała samolubne instynkty ludzkie, spuściła z łańcucha wszystkie podłe bestye pożądliwości zwierzęcych. Ona wytworzyła ów „bezlitośny stosunek do bliźniego“, jak się p. Mazanowski bardzo dobrze wyraża.

Człowiek nie jest kreaturą szlachetną. Jego samolubstwo i wynikające z niego pożądliwości trzyma na obroży prawodawstwo, wychowanie, tradycya, a przedewszystkiem religia. Gdy etyka pozytywistyczna zdjęła z samolubstwa pęta, nie trudno sobie wyobrazić, jak sobie ów brutal używał (gryndierstwa, krachy, Panamy, oszustwa, wyzysk słabszych, rozpusta zmysłowa itd.) Altruizm pozytywistyczny, wymyślony dla poskromienia egoizmu, był tylko sztuczką, wykrętem.

W swojem studyum zawarł p. Mazanowski charakterystykę naturalizmu (pozytywizmu w sztuce) i modernizmu. Do roboty zabrał się bardzo sumiennie, przeczytał bowiem wszystko, co należało przeczytać, i wycisnął z bogatego materyału esencyę. Trochę tylko więcej jasności i zwięzłości nie zaszkodziłoby nic temu dziełu. Trudno jednak być zupełnie jasnym, gdy się mówi o modernizmie, który tkwi zmysłami i apetytami w pozytywizmie, choremi nerwami w pesymizmie, a zrozpaczonem okiem patrzy w przyszłość. By go dobrze zrozumieć i ściśle określić, trzeba poczekać na jego dzieła, których stworzył dotąd za mało. Jeden Przybyszewski nie wystarcza do charakterystyki szkoły.

List pasterski X. metropolity Szeptyckiego.

We wczorajszej kronice podaliśmy pokrótce wiadomość, że X. metropolita Szeptycki wydał obszerny list pasterski do całego duchowieństwa ruskiego. Dziś podajemy treść tego listu, który ma duże znaczenie dlatego, ponieważ X. metropolita porusza w nim w sposób bardzo energiczny i otwarty stosunek Rusinów do kuryi rzymskiej. Powód do zabrania głosu w tej sprawie dały X. metropolicie przedewszystkiem różne artykuły prasy ruskiej i agitacya, szerząca się wśród ruskiego duchowieństwa w tym kierunku, iżby sprawy ruskiej cerkwi wyłączono z zakresu działania kongregacyi *de propaganda fide*, a poddano bezpośrednio pod rozstrzygnięcie Papieża. Owóż X. metropolita w liście swym stwierdza przedewszystkiem, że Papież nie załatwia żadnych spraw osobiście, jeno za pośrednictwem kongregacyi i referentów, a dalej wykazuje, iż wszelkie zarzuty, jakie ze strony prasy i xięży czyniono Propagandzie, są zupełnie bezpodstawne, polegają na nieznajomości zakresu działania poszczególnych instancyj duchownych, a nawet odnoszą się do spraw, z którémi Propaganda nie ma zgoła nic do czynienia. W rezultacie X. metropolita oświadcza się stanowczo za dotychczasowym stanem rzeczy.

Druga część listu pasterskiego x. metropolity Szeptyckiego zajmuje się sprawami duchowieństwa ruskiego w Ameryce. X. metropolita oznajmia, że od kilku lat toczą się już starania, żeby dla amerykańskich Rusinów utworzyć odrębne wikaryaty, a z czasem i biskupstwa. Rok temu, wysłał x. metropolita do Kanady misyonarza, a obecnie sprawa posunęła się znowu o jeden krok naprzód, gdyż wysłano do Ameryki dwóch osobnych wizytatorów, którzy się mają zajmować sprawami kościelnemi Rusinów w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Wizytatorem dla Kanady jest xiądz ruski z Galicyi, dla Stanów Zjednoczonych xiądz ruski z Węgier. Że znaczną część agend wizytacyjnych objął xiądz z Węgier, to nie powinno dziwić nikogo, gdyż ruskich xięży w Ameryce, pochodzących z Galicyi jest 12, a z Węgier 37. Obawy o madiaryzowanie Rusinów amerykańskich są płonne; gdyż owszem węgierscy Rusini na ziemi amerykańskiej otrząsają się z wpływów węgierskich i stają się więcej Słowianami niż przedtem.

Jednakowoż wszystkie usiłowania x. metropolity, dążące do wzmocnienia powagi kleru ruskiego w Ameryce, zostały teraz w znacznej mierze pokrzyżowane niesfornem zachowaniem się duchowieństwa ruskiego w Ameryce. „Skompromitowano dobrą sprawę“ — pisze x. metropolita — Ruscy xięża amerykańscy urządzili wiec, na którym poddali pod ogólną dyskusyę pytanie: czy Rusini w Ameryce mają, czy też nie mają uznawać dogmatów wiary katolickiej o nieomylności i supremacyi Papieża rzymskiego? Postępek ten nacechowany jest tendencyą herezyi i szyzmy, a uczestnicy wiecu owego albo zostali *ipso facto* (samym czynem) ekskomunikowani na podstawie jednej z bull papieskich, albo też co najmniej — według technicznego wyrażenia kanonicznego — są *suspecti de haeresi* (podejrzani o herezyę). Jeżeli zaś ich postępowanie, którem dali zgorszenie wiernym, miało być tylko manewrem politycznym w celu zmuszenia Stolicy Apostolskiej do spełnienia ich życzeń, to zaiste manewr taki — jak pisze x. metropolita — jest w wysokim stopniu niebezpieczny, niezręczny i kompromitujący sprawę utworzenia odrębnego biskupstwa dla Rusinów w Ameryce. Teraz bowiem sprawa ta może łatwo wyglądać na sprawę osobistej ambicyi kilku niepewnych co do wiary i niesumiennych kapłanów. Potępiwszy w ten sposób separatystyczne dążenia kleru ruskiego w Ameryce, oświadcza x Szeptycki, że wszelkie zwalanie winy na kongregacyę „de propaganda fide“ lub na biskupów łacińskich w Ameryce polega tylko na lekkomyślnem sądzeniu sprawy. Dalej zbija x. metropolita zarzut, jakoby Rzym dążył do zlatynizowania Rusinów amerykańskich, cytuje w tym względzie jedno charakterystyczne pismo kongregacyi do biskupa kurytybskiego. Pismo to wydane było w r. 1899. Porusza ono kwestyę obrządku dzieci z mięszanych małżeństw między Rusinami a Polami i nakazuje uwzględniać w pełnej mierze prawa Rusinów.

W końcu wzywa x. metropolita kapłanów ruskich „dobrej woli i szczerej pracy“, którzy chcą się podjąć utwierdzania w wierze swych rodaków w Brazylii i Kanadzie, by zgłaszali się do niego, ale zapowiada z góry, że zanim wyszle takiego xiędza na misyę, wprzód wystawi go na próby, aby się przekonać, czy z tej misyi będzie miał Kościół pożytek.

Studzieniczna.

(Z wrażeń wędrowca).

W uroczym zakątku ziemi augustowskiej, pełnym lasów i jezior, na ustronnym półwyspie, w zaciszu, usposabiającem do rozmowy z Bogiem i przyrodą, leży wieś kościelna Studzieniczna, do której ściągają dwa razy na rok: w Zielone święta i na św. Annę, tysiączne rzesze pątników z bliskich i dalszych okolic gubernii suwalskiej.

Dzieje powstania tej osady to jakby opowieść romantyczno-rycerska, łącząca urok legendy ludowej z prawdą historyczną, zapisana w kronikach miejscowych.

Jeszcze w drugiej połowie wieku XVIII na miejscu dzisiejszego półwyspu były dwie wyspy, zacienione lipami i dębami odwiecznymi, rzucone na brzeg południowy jeziora Studzienicznego. Na jednej z wysp, w puszczy nieprzeniknionej, osiedlił się w owym czasie b. pułkownik (podług innych major) wojsk polskich, Wincenty Morawski, aby na resztę dni swoich, zamieniwszy szablę na różaniec, żyć zdala od zgiełku świata z modlitwą na ustach. Jaki zawód, ból, czy tęsknota pchnęły go w to pustkowie, któż zgadnie? to tylko pewna, że pustelnik, zrywając ze światem, nie zerwał z ludźmi, że serce dawnego wojownika gołębią dobroć żywiło i pragnęło nieść ulgę cierpiącej braci. Obcowanie z przyrodą, nieskalanie dziewiczą w tej ustroni, dało mu moc poznawania własności roślin i ziół leczniczych; czyste fale wody jeziornej, utrzymując w krzepkości zdrowie starca, wskazały mu zdrowotną ich siłę. Tymi więc niewinnymi środkami począł leczyć lud okoliczny. Jedno i drugie pomyślne wyleczenie rozniosło szeroko wieść o pustelniku. Odtąd z różnych odległych stron kraju schodzili się tu cierpiący i kaleki.

Z ofiar sobie znoszonych pustelnik nietylko opędzał skromne potrzeby, ale nawet zebrał pewien fundusz. Nie pragnąc nic dla siebie, dbały jedynie o chwałę Opatrzności Boskiej, której przypisywał skuteczność swych leków, nabył w Augustowie za 100 tynfów kaplicę drewnianą i przeniósł na wysepkę. Potem w r. 1781, udał się na osiełku w podróż do Rzymu, skąd sprowadził, z indultem uzyskanym, cztery obrazy: Bogarodzicy z góry Karmelu, św. Anny, św. Tekli i św. Jana Nepomucena, i zaprowadził służbę Bożą. Ofiary pątników na rzecz kościoła, podczas czterech odpustów, stanowiły jedyne źródło utrzymania kapłana i służby kościelnej.

Papież Pius VI udzielił trzech odpustów dorocznych kościołowi. Na stałe osiadł w Studzienicznej pierwszy kapłan w r. 1794, gdyż dopiero w tym roku znajdujemy w aktach metrykę pierwszego ochrzczonego w tym kościółku, Antoniego Rozmysłowicza. A ponieważ w początkach założenia dyecezyi augustowskiej dawał się uczuwać brak xięży świeckich, więc i Studzieniczna miewała zakonników; została ona filią parafii w Szczebrze. Proboszcz szczeberski zabierał z odpustów „ofertę“, a za to utrzymywał xiędza i zaopatrywał kościół w aparaty. W r. 1838, na mocy decyzyi biskupa Straszyńskiego „oferta“ szła do rąk xiędza miejscowego.

Według podania ludowego, obraz Matki Boskiej miał się objawić na lipie; w istocie zaś tam go, po przywiezieniu z Rzymu, zawiesił pustelnik. Aby ochronić obraz od wpływu powietrza, wybudował nową kaplicę na drugiej wyspie, w r. 1786. Wiara ludu uznaje obraz ten za cudowny.

Ufny w opiekę Bogarodzicy, Morawski leczył dalej pątników, przeważnie wodą, czerpaną ze studzienki. Od tej studzienki poszło miano całej osady „Studzieniczna“. Studzienka ta pod daszkiem, z obrazami świętych wewnątrz, znajduje się obok kaplicy. Woda w niej przybywa i opada w miarę przypływu i odpływu fal na jeziorze.

W r. 1812 żołnierze francuscy zrabowali pustelnię i kaplicę. Dzielny starzec udał się natychmiast za nimi do Augustowa i wymógł na jenerale, że kazał zwrócić zagrabione przedmioty. Przejścia te dobiły sędziwego pustelnika, którego portret wisi w kościele, a ciało spoczywa w pobliżu.

Tragiczny zaiste przypisek znajdujemy w notatce kościelnej: „Po zgonie Morawskiego, syn jego przybył z Grodna do Studzienicznej, a rozgniewany, że ojciec wszystkie oszczędności włożył w kościół, chciał zniszczyć aparaty kościelne, lub zabrać je gwałtem. Ledwo je parafianie zdołali ocalić“. Notatka nazywa go pogardliwie „komedyantem, gdyż na teatrze w Grodnie się bawił“.

Kościółek szczupły, zbudowany przez śp. Morawskiego, stał do r. 1845, kiedy włościanin Szymon Andruszkiewicz, z parafii Krasnopol pod Sejnami, zaczął go przebudowywać i rozszerzać, co ukończył w roku następnym. W tym kształcie, co prawda nieforemnym, stoi po dziś dzień. Fundator wyłożył na to z górą 3.000 rb. i sporo pracy rąk własnych; trzy ołtarze z tarcic postawił i pomalował, stacye męki Zbawiciela i organy również ufundował. Zapisał nadto na naprawę kościoła 300 rb.

Dla ułatwienia dostępu rzeszom pątniczym, które jeszcze przed 20-tu laty napływały na Zielone Swięta w liczbie 15.000—20.000 osób (dziś na odpusty gromadzi się po 6.000), wyspę, mieszczącą kościółek, połączono z lądem groblą; jedynie do kaplicy ze studzienką prowadził przez czas jakiś most drewniany; następnie i tam, aby zapobiedz wypadkom, usypano groblę, tak, że dziś z dwóch wysp utworzył się półwysep, omywany szemrzącemi falami jeziora.

Kaplica drewniana „na grądziku“ (na wyspie), skutkiem wilgoci podupadła, przeniesiono ją zatem na cmentarz grzebalny w r. 1862, na miejscu zaś jej wzniesiono, ze składek, kaplicę murowaną, według projektu, powziętego jeszcze w r. 1858.

Wzniesienie tej świątyni należy zawdzięczać p. Ludwikowi Jeziorkowskiemu, inżynierowi naczelnemu kanału augustowskiego, i x. Ludwikowi Milewskiemu, proboszczowi miejscowemu; funduszem zaś przyczynił się do budowy prałat żytomierski, x. Wincenty Wnukowski.

Niełatwa to była budowa. Na 64-ch palach drewnianych, bitych kafarem 2 i pół sążnia, ułożono kratowanie z bali drewnianych i bruku kamiennego z gliną, na którym budowano dopiero fundamenta głębokości 9-ciu stóp od powierzchni ziemi. Dzięki takim środkom zapobiegawczym, o wilgoci mowy być nie może. Stanęła piękna kaplica, w stylu doryckim, z 4-ma frontonami. Swiatło słoneczne wpada do niej przez 800 małych szybek (policzono je, gdy niegdyś nawałnica gradowa powybijała prawie wszystkie). Na stropie oko Opatrzności, w ołtarzu jedynym obraz Matki Boskiej, przywieziony z Rzymu przez śp. Morawskiego; zczerniałe oblicza uwydatniają tylko korony z pereł nad głowami Najświętszej Panny i Dzieciątka Jezus, na około wota.

Nabożeństwo oprawia się tu w dni odpustów wspomnianych — na Zielone Święta i na św. Annę, oraz wtedy, gdy przybędzie xiądz dziekan lub drugi kapłan z okolicy.

Pamięć założyciela Studzienicznej utrwala wmurowana w zewnętrzną ścianę kaplicy tablica z napisem:

Wincenty Morawski pułkownik, jako pustelnik, pierwszy na tem miejscu osiadł i założył Studzieniczną. Na cześć Boga Rodzicy na 2-ch wyspach zbudował 2 kaplice w 1770 i 1786 r. i wprowadził służbę Bożą. Dzisiejsza murowana kaplica stanęła z pobożnych ofiar w 1872 r.

Sub directione M. D. Archit. Lud. Jeziorkowski.

Et loci Administr. M. D. Ludovici Milewski.
Hoc Monumen. sculp. R. P. Mich. Orłowski Franciscan.

Druga tablica wyraża prośbę pośmiertną fundatora:

Sacordotes Dei,
Mementote mei,
Hujus loci fundatoris,
Vincenti peccatoris.

Na kielichu mszalnym jest napis: „Brat-pustelnik sprawił ten kielich do Studzienicznej r. 1776“.

Po życiu wiekowem, przetrwawszy niejedną burzę, zmurszała na starość i grożąca zwaleniem się lipa pamiątkowa, na której ongi wisiał obraz Bogarodzicy, padła pod razami siekier. Pątnicy, wierzący w jej uzdrowcze własności, odgrzebują korzenie i korzonki, zabierając je do domów i przechowując, jak talizman.

Jakaś bezbrzeżna błogość napełnia istność naszą w tej cichej, zapomnianej ustroni, mieszczącej na małej przestrzeni dom Boży i kaplicę, i mogiłę wojownika, i skarbiec wspomnień i bogactwa ostępów leśnych i wód żywiących i rzeźwiących.

Z wrót plebanii roztacza się prześliczny widok na brzegi jeziora z prześwitającą białą szatą kapliczki z pośród gąszczu drzew wyniosłych, zielenią przedziwnie jasną podbitych.

— Czy nie ma widoków tej pięknej miejscowości? — zapytuję mego przewodnika-kapłana.

— Ja nie mam. Chyba który z pątników (bo rozmaici się zdarzają), jaki amator-fotograf schwycił to lub owo, co mu się bardziej podobało... Ale gdzie go szukać?... Były rysunki z lat dawnych. Co prawda — niewiele się tu zmieniło.

I za to, co zyskałem (notatki, wypis z akt, szereg objaśnień) wyrażam wdzięczność głęboką gościnnemu gospodarzowi tej ostoi, xiędzu Pieczkajtysowi.

W samej wioseczce ubogiej, z kilkunastu domków złożonej, znalazł się włościanin pomysłowy, obrotny, który wybudował dom dla letników. W roku zaprzeszłym mieszkania były zajęte, dziś stoją pustkami. Niechętni głoszą: „W Studzienicznej za wilgotno, a od jeziora wiatr wieje, prawie co dnia, nieprzyjemny...“

Nie wiem, co prawda, czy chorym na płuca pomógłby pobyt w Studzienicznej; ale wiem, że na ludzi ze starganemi nerwami, rozdrażnionych pracą umysłową, atmosfera tameczna działa, jak balsam; że rzeźwy chłód jeziorny łagodzi skwary letnie, że szmer lasów augustowskich kołysze duszę, jak piosnka matczyna nad kołyską.

Z izby sądowej.

Lwów, 7 września.

(Gwałty podczas strejków rolnych).

Dziś o godz. 10-tej rano ogłoszono wyrok w sprawie włościan z Głuchowic, obwinionych o gwałty i awantury podczas strejku rolnego. Uwolniono tylko 6 oskarżonych, natomiast skazano: Paulinę na 4 miesiące ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co tydzień, Słabickiego na 2 miesiące takiego samego więzienia, Krysę i Bołszowskiego na 14 dni ścisłego aresztu, nadto 10 oskarżonych skazano na 8, 3 na 3, a 4 na 1 dzień zwykłego aresztu.

KRONIKA.

Lwów 6 września.

Wiadomości urzędowe. Cesarz zamianował Kazimierza Lissowskiego i dra Natana Seinfelda zastępcami dyrektorów kolei państwowych w VI-tej randze urzędników państwowych z tytułem radzców rządowych.

Minister sprawiedliwości zamianował naczelnika kancelaryi w sądzie krajowym lwowskim Adolfa Cwetkę naczelnym dyrektorem kancelaryi w sądzie obwodowym w Samborze.

Spór o Morskie Oko. Z Zakopanego nam donoszą: W schronisku nad Morskiem Okiem, odbyła się onegdaj wspólna kolacya. Prof. dr. Ponikło pił zdrowie obcych gości. Dr. Winkler dziękował w serdecznych słowach. Poseł Kozłowski wzniósł toast na cześć Węgrów, a arbiter węgierski Lehoczky na utrzymanie przyjaźni polsko-węgierskiej. Wiele przybyłych osób nocowało nad Morskiem Okiem pod gołem niebem, między te i p. Becker. Wczoraj o 7 rano udali się członkowie sądu tratwą na drugi brzeg Morskiego Oka, a stąd do Czarnego Stawu.

Nad Czarnym Stawem prof. Becker dawał wyjaśnienia co do granic spornego terytoryum, a mapy z nieistniejącym potokiem nazwał fantazyą. Wyjaśnienia były dla nas korzystne. Po obiedzie nad Morskiem Okiem nastąpiło serdeczne pożegnanie Winklera, który przytem powiedział kilka krotnie po polsku „dziękuję“. Następnie konno udano się do granic węgierskiej, skąd cały sąd pojechał do Szmeksu. Zaraz po odejściu sądu z nad Morskiego Oka dwaj robotnicy pod ochroną żandarmów węgierskich zburzyli kładkę nad potokiem Rybim, zbudowaną dla wygody sądu. Wczoraj aresztowali węgierscy żandarmi kobietę z Białki, Maryannę Gorylową, za to, że szła spornem terytoryum. Trzymali ją uwięzioną przez trzy godziny i grozili jej mówiąc: Wygraliśmy teraz proces, pójdziecie w kajdanach do więzienia do Lewoczy. Wniesiono telegraficzny protest na ręce prezydenta Tschurznickiego.

— Dnia 10go września o 9 rano rozpoczną się w Gracu dalsze obrady sądu rozjemczego.

Okulista dr. Teodor Bałłaban powrócił do Lwowa i ordynuje jak zwykle.

Uczczenie pamięci Henryka Siemiradzkiego. Petersburska Akademia sztuk pięknych postanowiła najbliższe swe posiedzenie poświęcić uczczeniu śp. Henryka Siemiradzkiego.

Jubileusz 40-letniej służby obchodził dziś p. Aleksander Maresch, dyrektor urzędu pocztowego we Lwowie. Urzędnicy ruchu wręczyli jubilatowi ozdobny adres i zgotowali mu owacyę. Wieczorem odbędzie się bankiet na jego cześć na Strzelnicy miejskiej.

P. dyr. Maresch, liczący dziś 57 lat, wstąpił był w r. 1862 do wojska, uzyskał stopień starszego porucznika, jako oficer brygady pionierów odbył kampanię pruską r. 1866 i otrzymał medal wojenny. W r. 1773 wstąpił do poczty, gdzie przeszedł wszystkie stopnie i dosłużył się rangi dyrektora urzędu pocztowego i telegraficznego.

† **Rudolf Virchow**, słynny patolog, umarł wczoraj w Berlinie. Był to jeden z najwybitniejszych uczonych niemieckich. Urodził się w roku 1821 na Pomorzu. W świecie naukowym po raz pierwszy zwrócił uwagę na siebie w roku 1846 krytyką poglądów Rokitańskiego na istotę chorób. W kilkanaście lat później rozwinął własną teoryę w tej dziedzinie, mianowicie tzw. patologię komórkową, w dziele pt. „Odczyty o patologii komórkowej“, które przetłómaczono na wszystkie prawie języki europejskie. Dziełem tem wywarł ogromny wpływ na rozwój nowoczesnej medycyny.

Wielkie zasługi położył Virchow na polu hygieny, publikując liczne cenne prace o czyszczeniu miast, desynfekcyi, hygienie szkół, szpitali itp. Również antropologia i etnografia wiele mu zawdzięczają. Znane są jego rozprawy o pomiarach czaszek i o znaczeniu tych pomiarów dla badania ras ludzkich, o pierwotnych mieszkańcach Europy, o wykopaliskach przedhistorycznych i wiele innych. Jako profesor uniwersytetu w Berlinie, Würzburgu, a następnie znowu w Berlinie, rozwinął także bardzo dodatnią pracę pedagogiczną. Virchow brał także wybitny udział w polityce. W roku 1848 przyłączył się do stronnictwa demokratycznego, to też w następnym roku ministeryum odebrało mu docenturę w uniwersytecie berlińskim i tylko za usilnem staraniem stowarzyszeń lekarskich oddano mu ją napowrót. Od roku 1862 był posłem do sejmu pruskiego, a od roku 1880 do parlamentu niemieckiego. Należał do stronnictwa wolnomyślnego; wybitny udział wziął w walce kościelno-politycznej, którą pierwszy nazwał „walką kulturną“; nazwa ta przeszła do historyi. W działalności swej politycznej był Virchow przeciwnikiem Bismarcka, jednakże w ostatnich czasach począł się zbliżać do hakatyzmu i zamanifestował to w sposób dość niezgrabny. Mianowicie, kiedy uniwersytet Jagielloński z okazyi swego 500lecia zamianował go swoim doktorem honorowym, on nawet nie uważał za właściwe podziękować za ten zaszczyt.

W ostatnich czasach Virchow zapadł na zdrowiu tak, że wszyscy wiedzieli, iż długo już żyć nie będzie. Mimo to śmierć przyszła nagle, nie przypuszczano, że katastrofa tak rychło nastąpi. Sędziwy uczony umarł na rękach żony, w otoczeniu rodziny.

Wyścigi motorów we Lwowie. Podczas wyścigów cyklistów, które odbędą się w niedzielę 7 i w poniedziałek 8 września, ścigać się będą także rowery motorowe w trzech biegach, nieobjętych ogłoszonym dotychczas programem. Będą to więc wyścigi nadzwyczaj interesujące.

Wypadek kolejowy. Podczas przesuwania wozów towarowych przy pociągu, zdążającym do Kołomyi, wykoleiła się na stacyi Horodenka-miasto wczoraj około godziny 6·30 rano maszyna pociągu z powodu złego ustawienia zwrotnicy. Wskutek tego wypadku pociąg ten spóźnił się o 3 godziny. Z ludzi nikt nie odniósł obrażenia. Dochodzenia wdrożono.

Pruska agitacya Los von Rom w Austryi. *Vaterland* zbiera skrzętnie wypadki, które dowodzą jaskrawo: po pierwsze, w jaki straszny sposób prowadzoną jest agitacya *Los von Rom*; po drugie, że pieniądze na tę agitacyę płyną wyłącznie z Niemiec i to nader obficie. Oto najświeższy przykład: W miejscowości Steinach-Irding w Styryi postanowił komitet agitatorski wybudować kościół ewangielicki i założyć stałą stacyę kaznodziejsko-agitacyjną. Pieniądze na kościół wnet z Niemiec nadesłano. Otóż okazuje się, że w całej gminie żyje tylko czterech ewangielików. Z tych dwaj są to zagraniczni poddani, bawiący tam chwilowo, jako ajenci dla eksportu drzewa. Jeden jest plutonowym przy żandarmeryi, a czwarty i ostatni tylko jest miejscowym; ma on jednak żonę katoliczkę i wychowuje dzieci po katolicku. Zakłada się zatem wielki kościół ewangelicki dla czterech ewangielików, z których dwaj wcale do gminy nie należą. Ale ci, co łożą koszta, wiedzą dobrze, co czynią, bo — jak stwierdza *Vaterland* — idzie im tylko o centrum agitacyjne — skąd z pozorami legalności szerzyć mogą ewangielicko-pruską propagandę.

Koncert na cele dobroczynne odbędzie się dnia 7 b. m. w Dolinie staraniem starosty p. Władysława Marka. Wezmą w nim udział: potrójny kwartet męski „Lutni“ lwowskiej, pani Wanda Lickendorf-Elektorowiczowa ze Lwowa (fortepian) i pani Hausenbüchlowa z Kreehowic (śpiew).

Wielki festyn na dochód kościoła św. Elżbiety urządza w niedzielę dnia 7-go bm. w parku Kilińskiego i na placu powystawowym stowarzyszenie „Czytelni i wzajemnej pomocy“ funkcyonaryuszy kolei państwowych we Lwowie.

W sprawie zaliczek dla nauczycieli miejskich. Na ostatniem posiedzeniu sekcyi skarbowej Rady m. Lwowa uchwalono, by zaliczek z funduszów miejskich nie mogli otrzymywać nauczyciele, będący radnymi. Bardzo słusznie!

Napad syonistów na dziennikarza na kongresie w Mińsku. Syonistom rosyjskim pozwolił rząd rosyjski po raz pierwszy na odbycie kongresu, który rozpoczął się dnia 3 b. m. w Mińsku na Litwie. Warszawska *Gazeta Polska* wysłała na ten kongres swego sprawozdawcę w osobie p. Jerzego Ohrensteina, który znając dobrze stosunki żydowskie, język hebrajski i żargon, ogłosił w prasie polskiej wiele artykułów o ruchu syonistycznym. Prace jego cechowała zawsze bezstronność; syonistami nie zachwycał się nigdy, ale też przeciw nim nie występował. Otóż właśnie dla swej bezstronności p. Ohrenstein nie cieszył się i nie cieszy sympatyą wśród syonistów. Gdy obecnie udał się do Mińska na kongres, po otrzymaniu biletu wstępu został napadnięty przez tłum żydów, złożony z kilkuset osób. Bito go, powalono na ziemię, obrzucono gradem obelg. Po długim dopiero czasie przybył przewodniczący kongresu i uspokoił tłum. Do hotelu udał się p. Ohrenstein pod ochroną policyi, a obawiając się powtórnego napadu, wrócił do Warszawy.

Prasa zagraniczna dość baczną zwracała uwagę na wszystko, co się działo w Poznaniu podczas pobytu tam cesarza Wilhelma. Wiele dzienników paryskich wyraziło zdziwienie, że cesarz pojechał do kraju, który ma wszelkie powody być bardzo niezadowolonym z jego polityki. „Przybycie do Poznania po mowie malborskiej — powiada katolicki *Le Monde* — to przecież trochę przypomina czasy Atylli“. Z londyńskich dzienników *Standard* i *Daily Telegraph* poświęciły długie artykuły położeniu naszemu w królestwie pruskiem. Nazywają one to położenie bezprzykładnem w świecie cywilizowanym, tak nieznośnem, że podziwiać trzeba mądrą rozwagę Polaków. Oba te dzienniki dochodzą do wniosku, że sprawa polska jest rzeczywiście dla Prus ogromnie niebezpieczna, ale nie z powodu zachowania się samych Polaków, tylko dlatego, że państwo pruskie straci w świecie wszelki szacunek. Jedynie rozsądnem rozwiązaniem sprawy polskiej w Prusach jest całkowite uszanowanie języka, religii i obyczajów ludności polskiej, przyczem jednak powinna ona się zgodzić z tem, że politycznie należy do Prus.

Niemiecka prasa w Austryi sądzi, że cesarz Wilhelm samem swem przybyciem do Poznania i mową wygłoszoną podczas bankietu chciał złagodzić rozdrażnienie wywołane mową malborską. Jakoż powiedział w tej mowie, że religia i odrębności szczepowe będą uszanowane, ale Polacy powinni być dobrymi Prusakami. A zatem — powiadają austryackie dzienniki — od samych Polaków zależy ich przyszłe położenie w Prusach.

Z wyjątkiem takich pism polakożerczych, jak *Moskiewskie Wiedomości* i *Świet*, cała prasa rosyjska, omawiając pobyt cesarza Wilhelma w Poznaniu, bardzo nieprzychylnie ocenia politykę rządu pruskiego. Z tych pism najmniej dla nas życzliwe *Nowoje Wremia* pisze:

Rozlega się pamiętna mowa malborska: Niemcy grożą już nietylko Polakom poznańskim, ale całemu plemieniu „sarmackiemu“, — grożą już nie tylko siłą pruską, ale potęgą całego narodu niemieckiego, zamieszkałego w granicach i po za granicami Niemiec.

Głośne echo mowy malborskiej rozlega się po całej Słowiańszczyznie. Prasa słowiańska jednoczy się w niebywałym dotąd zgodnym chórze w parlamencie wiedeńskim dają się słyszeć energiczne, bardzo niedelikatne w tonie protesty w imieniu całej Słowiańszczyzny austryackiej. W innych centrach słowiańskich, jak dotąd, wzruszają ramionami.

Cóż na to Niemcy? Cesarz postanawia raz jeszcze rzec swoje ważkie słowo, — rzec je nie zdaleka, z murów twierdzy germańskiej, lecz w samym Poznaniu, w samem sercu głęboko wzburzonej i wstrząśniętej Polski pruskiej.

Nadzieje Niemców na świetne audytoryum książęce, wobec którego miał przemawiać cesarz, aby zdobyć sankcyę potężnych sąsiadów i tym sposobem ostatecznie zgnieść Polaków, zawiodły po większej części. Za to gazety niemieckie ogłaszają z zadowoleniem, że samej tylko zastawy dla uroczystego bankietu zwieziono do Poznania pełnych ośm wagonów, a dla uroczystego capstrzyku orkiestry wojskowej na dzień 3 września przysłało ministeryum wojny 30 pochodni elektrycznych, które zaleją Poznań blaskiem wielkości niemieckiej.

Przedsięwzięto poważne środki dla zgromadzenia dostatecznej liczby publiczności: przedstawiać ją będzie we wszelkich możliwych gatunkach i kostyumach — policya niemiecka, która zjeżdża do Poznania na występy gościnne ze wszystkich miast państwa niemieckiego. Ta policya troszczy się też starannie o udekorowanie domów obywatelskich, obowiązkowo biorąc na siebie wszelkie koszta na wypadek upornego sprzeciwiania się ze strony polskich właścicieli domów.

Przy takiej wystawie wypowiedziana będzie

przyobiecaną mowę programową, która przypieczętuje los narodu polskiego.

A jeśli „przypieczętować" go w ten sposób nie uda się?

Z teatru. P. Żelazowski został nagle wezwany do powrotu do Warszawy, wskutek tego repertuar przyszłego tygodnia musiał uledz zmianie w ten sposób, że w niedzielę powtórzoną będzie znakomita komedya Blizińskiego „Rozbitki", we wtorek „Właściciel kuźnic" Ohneta, a we czwartek „Szczęście w zakątku" Sudermana. Wystawienie „Kajetana Oraga" z powodu wyjazdu p. Żelazowskiego zostaje odłożone na później.

Z uniwersytetu. Ministeryum rozszerzyło *veniam legendi* prywatnego docenta systematyki i morfologii roślin na wydziale filozoficznym we Lwowie, dra Ignacego Szyszyłowicza, na anatomię i fizyologię roślin.

Z Ostendy piszą: Lawina Niemców zwaliła się na Ostendę i zatarasowała Kursal, digę i klub rulety. W klubie tak samo za[illegible] najlepsze miejsca i sadowili obok siebie żony i teściowe, nie grające, tylko dające natchnienia swym panom i ojcom rodzin. Krupierzy krzywo patrzyli na tych zwycięzców, wiedząc, że zanim z zaciśniętej pięści Niemca spadnie na stół pięciofrankówka, już przez ten czas zgra się do nitki „Francuz północy". Gry jednak nie przynosiły wielkiej [illegible], Anglicy z powodu koronacyi Edwarda VII nie przybyli ławą, jak to czynili zwykle, Francuzów nie było wcale, a fala Niemców nie przysporzyła bogactw panu Blanc.

Wszyscy zadają sobie pytanie: co się zrobi z pięknym domem gry, wystawionym dwa lata temu za przeszło milion franków i z jeszcze piękniejszym westibulem i ogrodem zimowym, wspanialszym od takiegoż w Monte-Carlo? Jednak dyrektorowie gry uśmiechają się i mówią: *Nous verrons*, co znaczy: przyjeżdżajcie na przyszły rok, i będzie pewnie, że nas tu zastaniecie.

Przytem tego roku nikt się nie zastrzelił, nikt nie padł na apopleksyę, słowem, jak tu powiadają „nie ma żadnego ożywienia".

Mało również zabaw w kurhauzie, o które dawniej troszczył się zarząd. Koncerty nawet kończą się o godz. 1/10. Dyrekcya domu gry, jak zapowiadają, płaci za to kurhauzowi, ażeby kończył wcześnie koncerty i nie odrywał poczciwych ludzi od „poważnych zajęć". Zostaje się więc tylko garstka młodzieży, kilku Anglików i Angielek, tańczących codzień w sali balowej, oraz kilku starszych panów i pań, którym „transpiracya" za poradą lekarzy [illegible].

W teatrzyku marnym, ciasnym, gorącym, oświetlanym gazem, grywa niezła trupa „Honor" Sudermana i „Damę od Maksyma". W Skali skacze Otero, [illegible] jak zwykle, ale za to [illegible].

Najwybitniejszym dniem sezonu był tak zwany *raid* (*Distanzritt*) wojskowych wszelkiej narodowości z Brukseli do Ostendy, czyli 132 kilom. Z 65 zapisanych zgłosiło się zaledwie 32. Pierwszy przybył oficer dragonów francuskich, Madamet, który odbył tę przestrzeń w 6 godzin 54 minut. Za nim przybyło dwóch jeszcze Francuzów, lecz palma zwycięstwa została przy pierwszym. [illegible] koni padło w drodze, wielu jeźdźców zachorowało w drodze; dzień był niezwykle upalny. Krytyka fachowa potępiła bezwzględnie ten wyścig, niemający żadnego sensu ani znaczenia. Przekonano się tylko, że przeważnie wygrały konie czystej krwi i starsze (11 i 12 lat). Lecz w jakim celu taka próba? Wszak podczas wojny nigdy się nie robi tak forsownych marszów, chyba w odwrocie czyli w ucieczce, a do tego rodzaju koni się nie trenuje. Jest to po prostu barbarzyńskie i bezcelowe marnowanie dzielnych koni. Porucznik Madamet, według własnych wynurzeń, przygotowywał się od dawna do tego wyścigu, trenował konia powoli i trenował siebie, a mimo to, że przybył przed trybuną w pełnym galopie, jak nakazywał program, [illegible] się będzie rozkoszował [illegible] dostarczyć mu [illegible] sfery wojskowej [illegible]. Przekonano się [illegible] doszły do mety, [illegible] jak 18 kilometrów [illegible], te zaś, którym [illegible] godzinę, albo parę. Zebrało się [illegible] widowisko w [illegible] zwycięskich [illegible] dla nich [illegible] wypili, napatrzyli się i odjechali.

Bajeczne skarby znajdują się na dnie jeziora Guatavita w północnej republiki kolumbijskiej, Santa Fe de Bogota. Jezioro było od czasów niepamiętnych przedmiotem czci krajowców, rzucali w nie złoto i drogie kamienie, wysadzano klejnotami czary, naramienniki, pierścienie i t. p. Gdy obecna rzeczpospolita kolumbijska została zdobyta przez Hiszpanów, tubylcy z nienawiści do zwycięzcy, rzucali skarby w święte wody. Opisuje to O. Pedro Simon, który w r. 1604 nawracał krajowców na wiarę Chrystusową. Obliczenie skarbów, spoczywających na dnie jeziora, dokonane w cyfrach przypuszczalnych przez p. de la Kier z Paryża, wkracza niemal w dziedzinę baśni. Ta cyfra wynosi 1,120,000,000 ft. szt., czyli pięć razy tyle, co indemnizacya wypłacona Niemcom przez Francyę. Ma się rozumieć, Hiszpanie nie pozostawili tych skarbów w spokoju. Przed 200 laty czyniono próby, ażeby je dostać z pod wody, ale [illegible] przy kopaniu pogłębiono je o 14 stóp. Pomimo to znaleziono klejnoty [illegible] od rządu [illegible] szmaragd, [illegible] na 70.000 dol. [illegible] kilka [illegible] łono jeziora, [illegible]. Aż wreszcie [illegible] Londynie towarzystwo „Contractors Limited" z kapitałem 30.000 [illegible] kanał, za pomocą [illegible] stóp. Zostanie [illegible] p. Rząd kolumbijski [illegible] uwolnił [illegible] do wysadzania [illegible], będzie pobierał [illegible] skarbów. Do[illegible] ągów i piękne [illegible].

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 15, w poł. + 22 R. Bar. 768. Spada. Pogodnie.

Kupiec i klient. (Humoreska).

Klient: Dzień dobry!

Kupiec: Padam do nóg panu dobrodziejowi.

Klient: Chciałbym kupić przyrząd, któryby zamykał drzwi, gdy je ktoś zostawi otwarte.

Kupiec: Pan zapewne ma na myśli przyrząd do automatycznego zamykania drzwi?

Klient: Tak... Chciałbym również, by nie był zbyt drogi.

Kupiec: Pan chce tani przyrząd do zamykania automatycznego drzwi?

Klient: I także, ażeby nie był zanadto skomplikowany.

Kupiec: To znaczy, że pan chce mieć prosty nie za drogi przyrząd do automatycznego zamykania drzwi?

Klient: Tak, właśnie takiego sobie życzę, — a przytem nie chciałbym, aby za gwałtownie zamykał, z hałasem.

Kupiec: Wiem, wiem, nie chce pan takiego co jak strzeli, to jakby z armaty!... Rozumiem już o co się panu właściwie rozchodzi: przyrząd ten ma być tani, prosty, niezbyt silny, do automatycznego zamykania drzwi?

Klient: Ale znowu nie zanadto powolny....

Kupiec: Taki, co to się zdaje, że go ślimak porusza! Pan chce mieć, krótko mówiąc, aparat tani, prosty, ani zbyt powolny, ani zbyt gwałtowny do automatycznego zamykania drzwi?

Klient: Ale jeszcze jedno, niech przyrząd nie będzie zbyt ciężki; znam ja takie, do których potrzebaby mieć siłę konia, żeby drzwi otworzyć.

Kupiec: To się rozumie. A więc niech sobie przypomnę: Pan pragnie mieć przyrząd tani, prosty, nie za gwałtowny, ale też nie zbyt powolny i nie zbyt oporny w użyciu, — do automatycznego zamykania drzwi....

Rozmowa trwa jeszcze dalej przez kilka minut.

Klient: No, więc niech mi pan będzie łaskaw pokazać parę takich przyrządów.

Kupiec: Pan wybaczy, ale my w naszym handlu nie sprowadzamy wcale przyrządów do automatycznego zamykania drzwi.

Kwestya kobieca.

— Jakie kobiety są najbardziej natrętne?

— Hiszpanki.

— Dlaczego?

— Bo często nawet na b r o d a c h u mężczyzn się lokują.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w sobotę „Uriel Akosta" tragedya w 5 aktach K. Gutzkowa. Gościnny występ Romana Żelazowskiego. — W niedzielę na ogólne żądanie „Rozbitki" komedya w 4 aktach J. Blizińskiego. Gościnny występ Romana Żelazowskiego. — W poniedziałek po raz 9ty „Dramat Kaliny" 3 akty prozą Z. Kaweckiego. — We wtorek (wznowienie) „Właściciel kuźnic" sztuka w 5aktach J. Ohneta. Gościnny występ Romana Żelazowskiego. — We środę po raz 9ty „Weronika" operetka w 3 aktach A. Messagera. — We czwartek (wznowienie) „Szczęście w zakątku" kom. w 4 aktach H. Sudermana. Ostatni i pożegnalny występ Romana Żelazowskiego. — W piątek po raz 4ty „Wdowa z Malabaru" operetka w 3 aktach Hervé'go. — W sobotę „Pierwsza mucha" komedya w 3 akt. Wiktora Kryłowa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 5 września.

(Z.) Fizyognomia giełdy naszej zmieniła się dziś do niepoznania. Dawno niewidziane ożywienie zapanowało na targu, a co najważniejsza, można było zauważyć, że także prywatny kapitał bierze udział w obrotach. W pierwszem stadyum robiono duże transakcye w walorach kolejowych, przez co podniesiono wydatnie ich kurs. Powodem rozwinięcia się spekulacyi zwyżkowej w akcyach kolejowych było przedewszystkiem wzmaganie się ruchu transportowego na wszystkich liniach kolejowych, nadto brano także w rachubę kombinacye, dotyczące upaństwowienia Statsbahnu i innych linii czeskich. Około południa przeniosła się spekulacya zwyżkowa także na targ akcyi bankowych. Z tych walorów przedewszystkiem faworyzowane były obie akcye kredytowe. Na zwyżkę ich wpłynęło w pierwszym rzędzie podniesienie się kursu węgierskiej renty koronowej. Ponieważ bowiem banki należące do grupy Rotszyldowskiej mają jeszcze dosyć znaczne zapasy tej renty, pozostałe z ostatniej operacyi konwersyjnej, przeto osiągną zapewne większy zysk ze spieniężenia ich po wyższym kursie. Podniosły się także akcye Länderbanku z powodu niezłych szans emissyi nowej renty bułgarskiej. Niemałym bodźcem do spekulacyi było także wznowienie rokowań ugodowych z Węgrami. Ministrowie austryaccy udali się dziś do Pesztu na konferencyę z węgierskimi kolegami, a w sferach giełdowych utrzymuje się wiara w to, że może to już będzie ostatnia ich podróż przed sfinalizowaniem rokowań.

Z Tryestu donoszą, że w dniu 27 października odpłynie stamtąd wielki parowiec „Lloyda" pierwszej klaszy z ładunkami do wschodniej Afryki i zatrzyma się w portach Zanzibarze, Beirze, Laurenzo-Marques i Durbanie, a może także i Kapsztadzie, jeżeli będzie miał ładunki przeznaczone do tego miasta. Następny okręt odpłynie z Tryestu 27 grudnia. Do wiedeńskiej ajencyi „Lloyda", która znajduje się w śródmieściu, Freisingergasse 4, napływają już znaczne zgłoszenia transportów do wschodniej Afryki.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 691·50, węg. Zakł. kredyt. 735·50, Anglobanku 278·00, Unionbanku 541·50, Länderbanku 425·00, Bankvereinu 459·00, Bodencredit 944·00, Gal. Banku hip. 537·00, Statsbahny 724·50, Lombardy 76·50, Kol. Elbethal 470·50, Północnej 5790, Czerniowieckiej 569·00, Alpiny 375·50, Rima Muranyi 503·00, Praskiego Tow. żel. 1510, Fabryki broni 330·00, Tureckie tytoniow. 314·00, Oblig. węg. indemniz. 97·65, Renta majowa 101·85, Austr. renta koronowa 100·15, Węgier. renta koronowa 98·05, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, 4½% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, 4½% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·25, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·50, 4% Poż. m. Lwowa 95·00, Losy tureckie 117·50, Marki 117·05, Ruble 253.25.

Sprawozdanie targowe Lwowskiej izby kupieckiej. Lwów, 5go września. (Ceny w walucie koronowej za 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima 7·00 do 7·10, średnia 0·00 do 0·00, żyto prima 5·85 do 6·00, średnie —·— do —·—, jęczmień browarny 5·— do 5·25, pastewny —·— do —·—, owies pański 5·50 do 5·75, chłopski —·— do —·—, kukurydza prima 5·00 do 5·15, średnia 0·00 do 0·00, rzepak zimowy nowy 10·00 do 10·25, len —.— do —·—, siemię lniane 11·— do 11·25, siemię konopne 8·— do 8·25 koniczyna czerw. prima 45·— do 48·—, średnia —·— do —·—, koniczyna biała prima 75·— do 80·—, średnia —·— do —·— szwedzka 00·— do 00·— tymotka —·— do —·—, anyż okrągły 00·00 do 00·00 płaski 00·00 do 00·00, groch do gotowania 8·— do 8·50, zielony 7·25 do 7·50, pastewny 0·00 do 0·00 bobik koński 4·75 do 5·00, wyka 5·00 do 5·25 otręby pszenne 3·50 do 3·60, żytne 4·00 do 4·10, chmiel —·— do —·—

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: Husiatyn-Stanisławów kontyngent 33·00 do 33·25, nadkontyngent 15·75 do 16·00; Tarnopol-Brody kontyngent 33·50 do 33·75, nadkontyngent 16·00 do 16·25; Sokal-Jarosław kontyngent 34·25 do 34·50, nadkontyngent 16·25 do 16·50; Rafinerye Lwów kontyngent 35·75 do 36·25, nadkontyngent 17·25 do 17·50.

Cena bez wszelkich kosztów za 10.000 litr procent.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe Izby handlowo-przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 27 sierpnia do 2go września — bez opłaty akcyzowej. Waluta koronowa i za 50 kilogramów. Pszenica stara 7.05 do 7.15, żyto 5.80—5·95, jęczmień browarny 5.75—6.—, jęczmień pastewny 5.00—5·25, owies 6.05—6·25, hreczka 0·00—0·00, kukurudza zeszłoroczna 5.75—6.—, kukurudza nowa 4.90—5.20, proso 0.00—0.00, groch do gotowania 7·50—8.40, groch pastewny 5.50—6.—, soczewica 0.00—0.00, bobik stary 0.00—0.00, bobik nowy 4.65 do 4.90, wyka stara 0.00—0.00, nowa 5.00—5.25, fasola 00—00, koniczyna czerwona nowa 46.50—50.00, biała 67.50—80·00, szwedzka 00—00.00, tymotka 18.00—21 anyż ros. —.00——, anyż płaski —.00——.00, kminek 00.00—0000 rzepak zimowy nowy 9 90—1015, rzepak letni nowy 00.00—00.00, lnianka 00.00 do 00·00, nasienie lniane 9·75—10.—, nasienie konopne 8.00—8.25, chmiel —.— do —·—, nafta zwykła 15.00 do 16.00, salonowa 18.00—19.00, łój topiony 36.50 do 37.00, Wosk ziemny 00.00—00.00, spirytus 10.000 litr. proc. gotowy kontyngentowany bez opłaty podatku 36.10—36.50.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze poranne*).

Brest 6 września. Przełożona pensyonatu St. Julien w Landern, otrzymała urzędowe zawiadomienie, że prefekt departamentu Finistèrre nie uznał prawomocności dokumentów, będących w ręku zakonnic; z tego powodu siostry zakonne powinne się natychmiast wydalić, w przeciwnym razie będą one tak samo, jak członkowie zarządu Société Civile uwięzione, przewiezione do Brest i tam postawione przed sąd.

Hamburg 6 września. Otwarto tu XIII-ty międzynarodowy kongres oryentalistów. W mowie powitalnej radzca legacyjny dr. Rosen podniósł zasługi kupiectwa, które utorowało drogę oryentalizmowi i nazwał Hamburg ogniskiem tego ducha kupieckiego. Kongres wysłał telegramy hołdownicze do cesarza Wilhelma, króla szwedzkiego Oskara i arcyksięcia Rainera. Gromkimi oklaskami powitano depeszę arcyks. Rainera, odczytaną przez delegata węgierskiego.

Londyn 6 września. Do „Biura Reutera" donoszą z Ken Hart w Kolonii Przylądkowej: Od czasu zawarcia pokoju szczep Domara dopuszcza się gwałtów i rabunków w północno-zachodnim okręgu Ken Hart wzdłuż rzeki Oranie na granicy niemieckiej. Wobec tego Niemcy, do których farmerzy zwrócili się o pomoc, przygotowują ekspedycyę. Cała trudność polega na dostaniu się na miejsce, gdyż trzeba odbyć około 10 mil pieszo, co także utrudnia dowóz żywności i amunicyi.

Poznań 6 września. Cesarz, cesarzowa i następca tronu odjechali wczoraj popołudniu do Poczdamu. W drodze na dworzec tworzyli eskortę konni strzelcy.

Berlin 6 września. Do tutejszych dzienników donoszą z Poznania, iż przy wjeździe cesarza do tego miasta zauważono znaczne luki na trybunie, przeznaczonej dla radzców miejskich i ich rodzin. Powodem tego było to, że wszyscy radni Polacy zażądali kart wstępu dla siebie, żon swoich i córek i nie zrobili z nich użytku.

Petersburg 6 września. *Nowosti* piszą, że podróż cesarza niemieckiego do Poznania ma w przeważnej mierze cechę zademonstrowania przyjaźni jego do Rosyi i jest niejako epilogiem zjazdu w Rewlu.

Birż. Wiedomości zaznaczają, że toast na cześć cara, wniesiony przez cesarza Wilhelma i serdeczne przyjęcie zastępców armii rosyjskiej będą bezwątpienia sympatycznie przyjęte przez ludność rosyjską.

Berlin 6 września. Wczoraj przed południem przybyli tu lord Roberts, minister wojny Brodrick i jenerałowie Kelly-Kenny, French i Hamilton.

Londyn 6 września. Wczoraj po południu odbyła się dwugodzinna konferencya generałów boerskich Bothy, Deweta i Delareya z Chamberlainem. Generałów i Chamberlaina, jadących powozem, witała publiczność serdecznie. Sprawozdanie z tej konferencyi ogłoszone będzie w „księdze błękitnej".

Zagrzeb 6 września. Dzień wczorajszy minął sokojnie. Ruch tramwajów przywrócono na wszystkich liniach. Wszystkie dzienniki opozycyjne skonfiskowano. Władze zawiesiły na mocy ustawy prasowej wydawnictwo *Srbobrana*. Z Brodu donoszą, że wczoraj urządzono tam demonstracyę, wybijano szyby w domach serbskich. Porządek już przywrócono.

Nowy Jork 6 września. Prezydent Roosevelt otrzymał pierwszy telegram z życzeniami z powodu szczęśliwego uniknięcia wypadku od cesarza niemieckiego z Poznania. Roosevelt w serdecznych słowach podziękował.

Paryż 6 września. *Temps* ogłasza list lekarza dr. Pichevina, pochodzącego z Martiniki, który przemawia za tem, aby z całej wyspy ustąpiła ludność cywilna. Lekarz ten wyraża przekonanie, że północną część wyspy należy uważać za bezwarunkowo straconą; cała wyspa jest tak zagrożoną, iż mieszkańcy będą bezustannie narażeni na zagładę. Potrzeba jednakże pozostawić tam małą załogę wojskową.

Nantes 6 września. Wczoraj toczyła się tu rozprawa sądowa przeciw pułkownikowi San Remi, który nie chciał brać udziału w zamykaniu pewnej szkoły zakonnej. Sala przepełniona była publicznością. Oskarżony odpowiadał spokojnie, tłómaczył się, że wiedział dobrze, jakie skutki wynikną z nieposłuszeństwa rozkazom władzy, ale wiedział też, jakie skutki sprowadza nieposłuszeństwo względem Boga. Panie wieńczyły jego zeznania oklaskami. Z przesłuchania świadków okazało się, że San Remi nie wykroczył przeciw subordynacyi wojskowej, albowiem nie rozchodziło się o rozkaz wojskowy, lecz o rekwizycyę władzy cywilnej. Oskarżonego uwolniono od zarzutu niesubordynacyi, a skazano na 1 dzień aresztu za nieposłuszeństwo wobec rekwizycyi władz cywilnych.

Petersburg 6 września. Car wyjedzie dnia 9 bm. do Kurska na wielkie manewry jesienne, a następnie do Krymu, dokąd podąży także carowa z córkami. Stan zdrowia carowej jest zadowalający. Rodzina carska zabawi na Krymie do grudnia, poczem powróci do Petersburga, a wkrótce potem car uda się w podróż do Rzymu celem rewizytowania króla włoskiego.

Konstantynopol 6 września. Admirał Palumbo był wczoraj wraz z 20 oficerami włoskimi na selamliku i wręczył sułtanowi podarunki króla Wiktora Emanuela. Po selamliku odbyła się na cześć Palumby defilada wojskowa. Sułtan kazał królowi włoskiemu podziękować za dary i ofiarował mu w zamian serwis porcelanowy z sułtańskiej fabryki porcelany.

Petersburg 6 września. W czasie od 26 sierpnia do 3 bm. liczba wypadków cholery w całej rosyjskiej Azyi wschodniej zmalała, z wyjątkiem Władywostoku, gdzie zaraza przez ostatnie dwa tygodnie srożyła się z jednaką uporczywością. W Odessie od 29 sierpnia do 2 września zachorowało ogółem 11 osób, zmarły z nich dwie. Rząd wysłał do Odessy ponownie bakteryologa Wysokowicza. W kolonii Gildecfeld okręgu odeskim zdarzyły się dwa wypadki podejrzane.

(*Depesze popołudniowe*).

Wiedeń 6 września. Dziś przed południem odbyło się otwarcie międzynarodowej wystawy rybackiej pod protektoratem arcyks. Franciszka Ferdynanda, w obecności wielu dyplomatów i delegatów państw zagranicznych.

Szangaj 6 września. Wczoraj podpisano traktat handlowy angielsko-chiński.

Simla 6 września. W skutek obfitych deszczów niebezpieczeństwo klęski głodowej w Indyach minęło.

Paryż 6 września. Nacyonalistyczne i konserwatywne dzienniki są zupełnie zadowolone z wyroku na pułkownika San Remi. Franciszek Coppée pisze w *Libre Parole*, że wyrok ten ma ogromne znaczenie, bo rząd będzie się odtąd wystrzegał wysyłać wojsko przeciw kongregacyom, a oprócz tego można się spodziewać, że za podobne wypadki nieposłuszeństwa nie będzie oficerów pociągał do odpowiedzialności. *Soleil* wywodzi, iż sąd wojenny uznał, iż San Remi nie zawinił przeciw dyscyplinie wojskowej, lecz tylko nie dał się porwać do gwałtów. *Gaulois* zaznacza, że wyrok był pełen taktu.

Radykalne pisma powiadają, że socyalni demokraci mają wiele powodów do zadowolenia z tego wyroku, albowiem żołnierze, należący do partyi socyalno-demokratycznej, nie będą zmuszeni słuchać rozkazu przełożonych wówczas, gdy rozkażą im wystąpić przeciw strejkującym. *Lanterne* sądzi, że minister wojny nie pochwali uzasadnienia wyroku i spensyonuje pułkownika San Remi. *Radical* twierdzi, że proces wykazał konieczność zniesienia sądów wojennych.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 6 września. L. Jełowicka z Truskawca. M. Żychoń z Bojaniec. A. Raciński z Tarnowa. S. Szymanowski z Nowego Jorku. K. Mauthner i K. Taussig z Wiednia. K. Paygert z Sidorowa. J. Chamiec z Ukrainy.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 6 września. Hr. K. Ożarowski z Jaśkowic. L. Radecki z Lipy. Dr. Wurst z Kałusza. T. Jarosz z Rawy ruskiej. Dr. J. Schayer z Berna. B. Pollak z Wiednia. M. Wierzchlejska ze Stawczan. M. Grunwald z Worochty. Dr. J. Walewski z Nossowa. H. Heim z Berlina. W. Pieniążek z Lipinki. Dr. Szpunar z Łańcuta.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.
Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 6 września. R. Szawłowski z Paryża. F. Cywińska z Rosyi. W. Wyganowscy z Rosyi. G. Rużiczka z Pragi. R. Heppener z Radziwiłłowa. W. Prystyka ze Zbaraża. E. Wenosz z Wiednia, J. Dawidowicz z Brzeżan. E. Feigl z Wiednia. H. Szeib z Hnizdyczowa. J. Krzysztofowicz z Artasowa. A. Obertyński z Nowego Sioła. E. Blumberg z Hamburga. O. Frankenbusch z Pragi. L. Noss z Czortkowa. N. Zimmermann z Węgier. E. Schlesinger z Oświęcima. Z. Jakubowski z Pilaw. E. Makomaski i W. Krajewski z Rosyi.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 6 września.

Marki 117.08, renta majowa 101.85, węg. renta koronowa 98.10, Akcye: austr. zakł. kredyt. 691.25, węg. zak. kred. 738.00, anglobanku 280.—, unionbanku 542.—, bankvereinu 459.00, länderbanku 427.50, kolei państw. 724·00, lombardy 76.50, akcye kolei Elbethal 471.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 314.00, alpiny 377·50, Rima Muranyi 504.00, pragskiego Tow. żel. ——, losy tureckie 117.00, ruble 253·25. Usposobienie łabsze.

Wiedeń 6 września. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3%	265 —
„ „ „ „ „ „ 1889 3%	263 —
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5%	285 -
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4%	255 75
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2%	90 50
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.	117 25

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19 40, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 428.—, Clary 40 zł. m. k. 203.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł 85.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 78.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 77.—, Ofen 40 zł. 198.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr 10 zł. 54.70, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·50 Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 76.—, Salma 40 zł. m. k. 243.50, Pożyczka salcburska 20 zł 80.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00 Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 424.—.

Berlin 6 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·50. Spirytus 00·00.

Paryż 6 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·50. Mąka („Fleur de Paris") 27·15.

Frankfurt 6 września. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 217·80. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 188·60. Laura 201·00.

Wiedeń 6 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6 98—6·99, na wiosnę 7·27—7·28; żyto na na jesień 6·28—6·29, na wiosnę 6·50—6·51; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·68—5·69, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·78—5·79, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·65—10·75. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: silna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 6 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 6·74—6·75, na kwiecień 7·02—7·03; żyto na październik 5·98—5·99, na kwiecień 6·17—6·18; owies na październik 5·46—5·47, kwiecień 5·76—5·77; kukurudza na wrzesień 5·40—5·41, na maj 5·40—5·41. Rzepak na wrzesień 00·00—00·00. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna mierna. Tendencya: słaba. Pogoda: piękna.

Lwów 6 września. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 840.— do 860.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100·70, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·20 do 96.90.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1·35, 8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35,** 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20,** 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.35* (na dw. gł.); 3·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45,** 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele i święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45*, 8·30, 2·55,** 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55,** 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09,** 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **3·51*, 2·40,** 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

18)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XX.

W domu przy ulicy Great-Portland.

Przez chwilę Kemp siedział w milczeniu, wpatrując się w bezgłową postać. Nagle zerwał się, chwycił Niewidzialnego Człowieka za rękę i odciągnął go od okna.

— Jesteś zmęczony — rzekł. — Ja się tu rozsiadłem, a ty chodzisz. Usiądź na mojem krześle.

Stanął pomiędzy Griffinem a najbliższem oknem.

Griffin usiadł, milczał chwilę, potem ciągnął dalej:

— Stało się to po mojem opuszczeniu Chesilstowe College w grudniu roku zeszłego. Wynająłem w Londynie duży, niemeblowany pokój w lichym pensyonacie w pobliżu Great-Portland Street. Pokój był zapełniony przyrządami, które kupiłem za jego pieniądze. Robota szła dobrze, zbliżała się do końca. Byłem jak człowiek, który budzi się ze snu, czy z odrętwienia, aby brać udział w tragedyi.

Pojechałem na pogrzeb ojca. Miałem głowę wciąż zaprzątniętą owem odkryciem, więc nie próbowałem nawet oczyścić jego pamięci. Przypominam sobie pogrzeb, karawan szóstej klasy, mały orszak, drogę, wiodącą na cmentarz; kondukt prowadził jego stary przyjaciel, mały, kichający pastorzyna.

Pamiętam, jak wracałem do pustego domu ulicami, które niegdyś przerzynały skromną wioskę, a przy których wznosiły się teraz brzydkie i pretensyonalne kamienice. Czułem się tu zupełnie obcy.

Nie było mi żal nieboszczyka. Uważałem, że padł ofiarą własnego, płytkiego sentymentalizmu. Zwyczaje, przyjęte wśród ludzi, zmusiły mnie przybyć na jego pogrzeb, ale nie byłem tu na miejscu i myśli moje odbiegały od tej ceremonii.

Jednak gdym wracał do domu, w którym czekała mnie pustka, ogarnęły mnie dawne wspomnienia. Spotkałem dziewczynę, dobrze mi znaną przed laty dziesięciu. Nasze oczy pobiegły ku sobie... Coś mnie tknęło, żeby się zbliżyć do niej i przemówić. Okazała się bardzo ograniczoną i pospolitą.

Rozumiałem, że jestem zupełnie samotny na świecie, alem tego nie odczuwał. Miejsce, w którem upłynęło moje dzieciństwo, nie budziło we mnie żadnego żalu za przeszłością, ani za zmarłym.

Wróciwszy do mego pokoju w Londynie, doznałem prawdziwej ulgi. Tu był mój świat, tu wszystko, co kochałem. Tu czekały na mnie retorty, doświadczenia. Główne trudności były już pokonane, zostawały tylko uzupełnienia, szczegóły.

Opowiem ci kiedyś cały ten skomplikowany proceder, ale teraz nie ma na to czasu. Wszystkie moje doświadczenia wypisane są cyframi w księgach, które ten łotr mi zabrał. Musimy go odszukać. Musimy te książki odebrać.

Najważniejsze,ażeby przedmiot, który chcemy zrobić przeźroczystym, został poddany działaniu fal eteru.

Te moje nowe fale nie są bynajmniej podobnemi do Roentgenowskich, nie zostały jeszcze zbadane, pomimo, że są bardzo wyraźne. Do wywołania ich wystarczały mi dwie niewielkie maszyny dynamiczne, które wprowadzałem w ruch przy pomocy taniego motoru gazowego...

Pierwsze doświadczenie zrobiłem na kawałku białej wełny. Rozpuszczał się, jak kłęb dymu, wreszcie zniknął z przed moich oczu.

Dotknąłem palcem pustego miejsca i namacałem wełnę w jej pierwotnej postaci.

Kiedyś zrobiłem inną, ciekawszą jeszcze próbę. Poza mojemi plecami usłyszałem miauczenie. Odwróciłem się i zobaczyłem białego, brudnego kota na parapecie okna od strony zewnętrznej.

Błysnęła mi myśl szczęśliwa:

— Masz gotowy materyał pod ręką.

Zbliżyłem się do okna, otworzyłem je i nawoływałem pocichu. Kot wskoczył do pokoju. Był wygłodzony. Dałem mu trochę mleka i chleba z masłem na zachętę. Umyłem go i położyłem na mojej poduszce.

— I poddałeś go próbie.

— Tak. Uśpiłem go sporą dozą opium i razem z poduszką położyłem na aparacie. Krew jego straciła barwę, sierść również, cały kot stał się niewidzialny, z wyjątkiem oczu.

— To dziwne...

— Nie potrafię ci tego wytłómaczyć. Był, ma się rozumieć, obandażowany i przywiązany do poduszki, więc nie potrzebowałem się obawiać, że mi ucieknie, ale obudził się zawcześnie i zaczął miauczeć przeraźliwie.

Zapukano do drzwi. Dobijała się stara wiedźma z dołu, która oprócz tego kota nie miała nic na świecie. Słysząc miauczenie, domyśliła się, że dręczę jej faworyta, więc przyszła się o niego upomnieć.

— Wszak tu jest mój kot? — spytała przezedrzwi..

Skropiłem znowu chustkę chloroformem, przykryłem nią kota i drzwi otworzyłem.

— Niema tu żadnego żywego stworzenia, oprócz mnie — odparłem.

Zajrzała do pokoju; zdziwił ją zapewne widok pustych ścian, okien bez firanek i maszyna warcząca, przytem doleciał ją mdły zapach. Stała chwilę na progu, wreszcie cofnęła się.

— Jak długo poddawałeś kota tej próbie? — pytał Kemp.

— Ze trzy do czterech godzin. Najtrudniej było nadać przezroczystość tłuszczowi, kościom i kolorowemu barwnikowi sierści. Tylko źrenice nie dały się zamienić na niewidzialne.

Noc zapadła, zanim skończyłem moją robotę; widać już było tylko świecące ślepia i pazury. Zatrzymałem maszynę, zacząłem bić odrętwiałe stworzenie. Było jeszcze nieprzytomne; odwiązałem bandaże i będąc sam zmęczonym, pozostawiłem kota na niewidzialnej poduszce i położyłem się spać.

Trudno mi było jednak usnąć. Leżałem z oczyma otwartemi, nie mogłem zebrać myśli; przypominałem sobie szczegóły doświadczenia lub marzyłem gorączkowo o przyszłych próbach; wreszcie utraciłem świadomość. Popadłem w sen ciężki, bardziej męczący od bezsenności.

Około drugiej kot zaczął miauczeć przeraźliwie; próbowałem go uspokoić, a widząc, że mi się to nie udaje, postanowiłem go się pozbyć. Pamiętam, jakiego doznałem wrażenia, gdym potarł zapałkę i ujrzałem tę parę oczu, świecących w powietrzu, a dokoła nich próżnię.

Byłbym dał mojej ofierze mleka, ale nic już nie miałem. Kot przykucnął przy drzwiach i zawodził żałośnie. Chciałem go złapać i wyrzucić przez okno, ale mi z pod rąk uciekał i miauczał w rozmaitych kątach pokoju. Wreszcie otworzyłem okno. Zdaje mi się, że wyskoczył przez nie, bo zrobiło się znowu cicho.

Nie wiem sam dlaczego, zacząłem myśleć o pogrzebie mojego ojca i przypominałem sobie wszystkie szczegóły. Spać już w żaden sposób nie mogłem. Skoro świt wstałem i zamknąwszy drzwi na klucz, wyszedłem się przejść.

— A zatem twierdzisz, że po świecie krąży kot niewidzialny? — zagadnął Kemp.

— Jeżeli go dotychczas nie zabili, to krąży. Ale sądzę, że został zabity. Wiem, że żył jeszcze dni kilka i błąkał się po placu Great Tichfiele, bo przechodząc tam, słyszałem miauczenie i widziałem zbiegowisko, które goniło parę świecących oczu.

Umilkł i siedział przez chwilę z głową zwieszoną.

— Pamiętam — mówił dalej — każdy szczegół tego poranku, ostatniego przed mojem przeobrażeniem.

Chodziłem po Great Portland Street, przyglądałem się barakom w Albany Street i koniom, pojonym u studni; wreszcie znalazłem się na szczycie wzgórza Primrose. Byłem zmęczony, chory. Usiadłem i wygrzewałem się na słońcu.

Był to dzień styczniowy, jasny, ale mroźny. Próbowałem w skołatanej głowie ułożyć plan dalszego działania; ale myśl nie była mi posłuszną. Cztery lata niezmordowanej pracy wyczerpały moje siły, pozbawiły mnie zdolności odczuwania wrażeń.

Byłem apatyczny i napróżno usiłowałem odzyskać dawny zapał do nauki, dawną żądzę wzbogacenia wiedzy nowymi wynalazkami, żądzę, która mnie popchnęła do zbrodni, okryła hańbą siwe włosy mojego ojca.

W danej chwili byłem obojętny na wszystko, nawet na sławę. Wiedziałem, że to usposobienie przejściowe, spowodowane nadmiarem pracy i brakiem snu i że odpoczynek lub środki lekarskie przywrócą mi dawną energię.

Czułem, że doprowadzę mój zamiar do skutku; rozumiałem, że muszę dokonać tego prędko, bo moje fundusze były już na wyczerpaniu.

Myślałem o wszystkich korzyściach, wypływających z niewidzialności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.